NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

G-7 planuje nowe sankcje na rosyjską ropę

Strona 6

Indyjska demokracja umiera za rządów Modiego

Strona 15

9 września 2022 - *Warszawa – Polska* **Numer 15(27)/2022**

Raport zespołu Mularczyka to początek drogi do celu

Warszawa, Plac Trzech Krzyży, 1945 r. Na pierwszym planie widoczna figura św. Jana Nepomucena. W głębi widoczne ruiny kościoła św. Aleksandra. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Gdy piszę te słowa, znamy już główne tezy raportu Parlamentarnego Zespołuds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej pracującego pod kierownictwem posła Arkadiusza Mularczyka. Data prezentacji raportu – 1 września jawi się jako tyleż symboliczna, co nieprzypadkowa, podobnie jak miejsce – Zamek Królewski w Warszawie.

Szczegółowa analiza metodyki oszacowania wymiaru materialnego poniesionych przez Polskę strat wymaga głębszej analizy, ale kwota blisko 6 bilionów złotych działa na wyobraźnię. Tak czy inaczej, reakcja społeczna jest jednoznaczna w swojej wymowie, kiedy bowiem, jak nie tego dnia, tezy, rekomendacje i konkluzje raportu wywołałyby silniejszy rezonans niż w rocznicę niemieckiej agresji na Polskę.

Z punktu widzenia planu politycznego trudno o lepszy moment, wszak polityka polega także na uruchamianiu emocji. Tyle tylko, że na gruncie prawno-traktatowym rzecz wydaje się nader trudna i skomplikowana z kilku co najmniej przyczyn, z których każda z osobna i wszystkie wzięte razem, zdają się wskazywać, że ów projekt ma przed sobą żmudną i długą drogę.

Otóż z mocy traktatu poczdamskiego część należnych Polsce reparacji przypadała na kontrybucję przyznaną ówczesnemu Związkowi Radzieckiemu. To zapewne zaważyło na decyzji władz PRL z 23 sierpnia 1953 roku o rezygnacji z odszkodowań wojennych, a następnie (24 sierpnia) o uznaniu, wspólnie z ZSRR, dotychczasowego zadośćuczynienia za wystarczające.

Ciąg dalszy na stronie 2

Dr Janusz Grobicki

Redaktor Naczelny

Dynamiczny wrzesień

Brytyjska królowa Elżbieta II przyjęła we wtorek 6 września na audiencji w zamku Balmoral w Szkocji nową przewodniczącą rządzącej Partii Konserwatywnej Liz Truss, której powierzyła misję sformowania rządu. Zaledwie dwa dni po tym wydarzeniu ze smutkiem dowiedzieliśmy się o śmierci Królowej Elżbiety II. Pogrążone w żałobie Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej ma nowego premiera oraz nowego Króla – Karola III. Wydaje się, że na początku panowania główną troską brytyjskiego monarchy będzie utrzymanie integralności Imperium Brytyjskiego. Tymczasem trwająca już blisko 200 dni inwazja Rosji na Ukrainę straciła impet. Ukraina przejęła inicjatywę strategiczną. Rosjanie w popłochu uciekali przed nacierającymi na Kupiańsk żołnierzami ukraińskimi. Rozwija się wyzwoleńcza ofensywa na przyczółku chersońskim. Dwa duże ugrupowania sił kremlowskich są zagrożone okrążeniem – jedno w rejonie miasta Izium, a drugie na froncie chersońskim. Jeśli okupanci nie zdołają utrzymać swoich pozycji za Dnieprem, a ich siły zostaną wyparte z rejonu Iziumu – skończą się imperialne rojenia Putina. Wszystko zależy teraz od żołnierskiego szczęścia, siły, determinacji oraz wyposażenia walczących z najeźdźcą oddziałów. Jak widać, dowództwo ukraińskie sprawnie i skutecznie dowodzi nie tylko obroną, ale także zakrojonymi na wielką skalę działaniami ofensywnymi. Nie bez znaczenia jest oczywiście optymalne wykorzystanie pochodzących od sojuszników danych wywiadowczych i nowoczesnej, dostarczonej przez Zachód broni. Niestety moskiewski satrapa coraz skuteczniej stosuje terror energetyczny. Na pewno będzie chciał jeszcze spróbować podzielić Unię Europejską. Skutki działań putinowskiego uderzenia propagandowego są już widoczne. W sobotę 3 września na ulice Pragi wyszły dziesiątki tysięcy Czechów, których łączą idee prorosyjskie oraz wciąż podsycany strach związany z niepewną sytuacją energetyczną. Wielu obserwatorów życia politycznego obawia się, że w okresie jesienno-zimowym może dochodzić do podobnych demonstracji w innych europejskich stolicach.

Rosja rozwiązuje problemy z ropą

W tej chwili Rosja dostarcza na globalny rynek prawie tyle samo ropy, co przed sankcjami nałożonymi na nią z powodu inwazji na Ukrainę. Ponieważ ceny ropy wzrosły, Moskwa zarabia jeszcze więcej – informuje „El Confidencial".

Chociaż Zachód chciał doprowadzić do paraliżu rosyjskiej gospodarki, w praktyce umożliwił prezydentowi Władimirowi Putinowi uzyskanie przewagi na froncie energetycznym, który towarzyszy walkom na Ukrainie.

Rosyjski rynek eksportowy jest największym światowym rynkiem ropy i paliw rafinowanych. Sprzedaż ciągle tam rośnie. Putin był w stanie wykorzystać sprzedaż gazu ziemnego jako broń przeciwko europejskim państwom popierającym Ukrainę.

Ciąg dalszy na stronie 3

Gigantyczna rozbudowa armii Chin. Sygnał ostrzegawczy dla USA

Stany Zjednoczone mają największy budżet obronny na świecie — 777 mld dolarów. Jednak czy przy wszystkich swoich globalnych zobowiązaniach i miliardach dolarów wydawanych obecnie na pomoc Ukrainie w obronie przed Rosją, Stany Zjednoczone byłyby w stanie pokonać Chiny w bitwie morskiej? — zastanawia się brytyjski dziennik „The Times".

Druzgocące wnioski z gry wojennej przeprowadzonej przez Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie sugerują, że w konflikcie z Chinami o Tajwan, USA straciłyby setki okrętów wojennych i samolotów — straty, których uzupełnienie zajęłoby lata.

„Największym problemem jest rosnący rozdźwięk między deklaracjami USA, a ich możliwościami. Administracja Bidena mówi tak, jakby równowaga militarna nie zmieniła się od 20 lat. Jednak się zmieniła i to dramatycznie.Na korzyść Chin" — powiedział Andrew Krepinevich, ekspert do spraw Chin i były urzędnik Pentagonu.

Ciąg dalszy na stronie 2

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 15(27)/2022*

Raport zespołu Mularczyka to początek drogi do celu

Ciąg dalszy ze strony 1

Wcześniej Kreml zobowiązany uchwałami poczdamskimi uznał jednostronnie, że z należnych Polsce 6 mld ówczesnych dolarów należy odliczyć znaczne kwoty, tytułem różnic w wartości majątku nabytego przez Polskę w wyniku uzyskania Ziem Zachodnich i utraconego po tym, jak Kresy Wschodnie przypadły Sowietom.

W odpowiedzi na argumenty ówczesnego premiera Stanisława Mikołajczyka, że Sowieci wywieźli z Ziem Zachodnich majątek ruchomy, inwentarz, a nawet całe fabryki, Wiaczesław Mołotow miał stwierdzić, że ich łączna wartość nie przekraczała 500 mln dol. W efekcie wyrażono zgodę na przyznanie Polsce jedynie 15 proc. dostaw z ówczesnej radzieckiej strefy okupacyjnej i kolejnych 15 proc. majątku ze stref okupacyjnych Niemiec administrowanych przez sojuszników zachodnich, tj. USA, Wielką Brytanię oraz Francję.

Oświadczenie o rezygnacji z dalszych roszczeń, z wyjątkiem związanych z okrucieństwem i uciskiem czasu okupacji, wystosowano do rządu NRD, jako że nie utrzymywano stosunków dyplomatycznych z RFN. Ustęp 5. oświadczenia z 24 sierpnia stwierdzał, że: „dla uregulowania problemu niemieckiego i w uznaniu, iż Niemcy w znacznym stopniu uregulowały swoje zobowiązania z tytułu odszkodowań wojennych, rząd Polski zrzeka się z dniem 1 stycznia 1954 roku spłaty odszkodowań wojennych na rzecz Polski".

Wcześniej, w Jałcie ustalono, że żadne odszkodowania na rzecz państw alianckich poszkodowanych przez III Rzeszę nie będą wypłacane w gotówce, papierach wartościowych lub złocie. Zamiast tego na wartość reparacji składały się niemieckie aktywa przemysłowe i ziemie. W efekcie uznania przez NRD (co potwierdzi późniejszy układ o normalizacji stosunków pomiędzy PRL i RFN) granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, Polsce przypadło blisko 24 proc. terytorium Niemiec w granicach z 1937 roku. Na tym jednak nie koniec.

W roku 1972 RFN wypłaciła odszkodowania z tytułu eksperymentów pseudomedycznych i więzienia w niemieckich obozach koncentracyjnych. Z kolei na mocy umowy Gierek-Schmidt z 1975 roku, Niemcy zobowiązały się wypłacić 1,3 mld marek Polakom opłacającym w czasie okupacji niemieckie ubezpieczenia społeczne, którzy nie pobierali z tego tytułu emerytury.

Po zjednoczeniu Niemiec w odpowiedzi na roszczenia niemieckich organizacji ziomkowskich zrzeszających byłych mieszkańców ziem należących po 1945 roku do Polski nasze Państwo ponownie zażądało reparacji. Kwestię uregulowano w ten sposób, że w 1992 roku oba rządy powołały Fundację Polsko-Niemieckiego Pojednania, która wypłaciła Polakom kolejne 4,7 mld zł. Z kolei w latach 1992-2006 rządy Austrii i Niemiec wypłaciły odszkodowania ofiarom pracy przymusowej. Tylko od 2001 roku – 484 tys. osób otrzymało w sumie 3,5 mld zł. Ponadto szwajcarski Fundusz na Rzecz Ofiar Holokaustu w latach 1998-2002 wypłacił odszkodowania polskim Żydom i Romom. Tyle faktów.

Co do warstwy politycznej, warto przypomnieć, że Niemcy były lojalnym orędownikiem przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, która to wspólnota zbudowana na wartościach – o czym przypominają gwiazdy z korony maryjnej – powstała w reakcji na doświadczenia II wojny światowej. Potwierdza to fakt, że flaga unijna po raz pierwszy załopotała na wieży katedry w Strasburgu. Tym samym zadośćuczynieniu w warstwie symbolicznej stało się, choć w części zadość.

Pora na podjęcie rzeczowych, pozbawionych emocji rozmów na temat form, trybu i wymiaru ekonomicznego zadośćuczynienia za straty materialne. Zapowiedziana przez premiera Mateusza Morawieckiego nota dyplomatyczna w tej sprawie będzie nie tylko prawno-międzynarodową inicjacją procesu, który zakończy ponure dziedzictwo, najstraszniejszej z wojen w relacji pomiędzy naszymi państwami i narodami, ale także testem na wiarygodność Niemiec jako państwa prawa.

W sytuacji, gdy jesteśmy członkami tego samego sojuszu obronnego, jakim jest NATO, odpowiedź na tak postawione pytanie wydaje się oczywista. Także w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę negatywną odpowiedź naszych zachodnich sąsiadów, niezależnie od intencji można będzie zakwalifikować w najlepszym razie jako nierozumną.

Maciej Małek

Gigantyczna rozbudowa armii Chin. Sygnał ostrzegawczy dla USA

Ciąg dalszy ze strony 1

USS Ronald Reagan trzymał się z dala

Obecność amerykańskiego lotniskowca z napędem atomowym oraz eskortujących go okrętów wojennych z pociskami kierowanymi, a także łodzi podwodnych może już nie wystarczyć, by powstrzymać Pekin przed inwazją na Tajwan, którego przyszły los może sprowokować pełnowymiarową wojnę między Chinami a USA.

Podczas tak zwanego trzeciego kryzysu w Cieśninie Tajwańskiej, który miał miejsce między lipcem 1995 a marcem 1996 r., kiedy to Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza (ChAL-W) wystrzeliła rakiety na wody otaczające Tajwan, USA wysłały dwie grupy lotniskowców. Lotniskowiec o napędzie atomowym USS Nimitz przepłynął przez Cieśninę Tajwańską, a ChAL-W nie mogła nic na to poradzić.

Podczas zmasowanej agresji ChAL-W na Tajwan w związku z wizytą przewodniczącej Izby Nancy Pelosi USA miały na Morzu Południowochińskim jeden lotniskowiec — USS Ronald Reagan. Trzymał się on z dala od ćwiczeń wojskowych chińskiej armii i obecnie wrócił do swojego portu w Japonii.

To bardzo delikatna kwestia

Amerykańskie źródła obronne przyznały, że nigdy nie było zamiaru wysłania lotniskowca do Cieśniny Tajwańskiej ani przed, ani po zakończeniu ćwiczeń inwazyjnych przez ChAL-W.

„Aby amerykański lotniskowiec mógł dziś przepłynąć przez Cieśninę Tajwańską, zgodę musi wyrazić nie tylko admirał John Aquilino, szef Dowództwa Indo-Pacyfiku. W sprawę musi być zaangażowany także przewodniczący Połączonych Szefów Sztabów generał Mark Milley, sekretarz obrony Lloyd Austin oraz Rada Bezpieczeństwa Narodowego. To bardzo delikatna kwestia" — zauważa „The Times".

Odkąd za czasów prezydenta Obamy Stany Zjednoczone zaczęły przenosić swoje siły wojskowe na obszar Indo-Pacyfiku, uznając rosnące zagrożenie ze strony Chin, w tym militaryzację spornych wysp na Morzu Południowochińskim, Pentagon stara

się zbudować w tym regionie potencjał zdolny nie tylko do odstraszenia Pekinu, ale także do wygrania każdej przyszłej wojny.

W koncepcji Obamy zabrakło jednak prawdziwej siły. Prezydent Trump kontynuował tę strategię, ale nie nastąpiła jakaś większa zmiana i dziś marynarka wojenna USA spiera się o to, ile okrętów wojennych chce zbudować w ciągu najbliższych kilku lat, nie mówiąc już o ich rozmieszczeniu w celu konfrontacji z Chinami.

Gigantyczna rozbudowa armii

Obecny bilans okrętów wojennych USA-Chiny to: USA 293, Chiny 350. Ameryka ma znacznie więcej lotniskowców — 10, podczas gdy Chiny mają trzy.

Jednak nowa analiza waszyngtońskiego Centrum Analiz Strategicznych i Budżetowych przewiduje, że do 2030 r. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza może wystawić nawet pięć lotniskowców i dziesięć atomowych okrętów podwodnych z rakietami balistycznymi.

„ChAL-W jest zaangażowana w gigantyczną rozbudowę armii. Postępy, jakich dokonała, są oszałamiające" — powiedział Ian Easton, ekspert ds. Chin i autor książki „The Chinese Invasion Threat: Taiwan's Defense and American Strategy in Asia".

Źródło: The Times

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 15(27)/2022*

Rosja rozwiązuje problemy z ropą

Ciąg dalszy ze strony 1

Przed wybuchem wojny rosyjski gaz pokrywał 40 procent europejskiego zapotrzebowania, jednak sankcje zablokowały rurociąg Nord Stream prowadzący do Niemiec i inne gazociągi. Putin podniósł więc ceny na deficytowy w Europie towar i zaczął używać go jako narzędzie nacisku na europejskie gospodarki.

Jednocześnie zrekompensował sobie straty dzięki sprzedaży ropy naftowej. Elina Ribakova, zastępca głównego ekonomisty Instytutu Finansów Międzynarodowych, uważa, że Rosja ma wystarczająco pieniędzy. Na sprzedaży ropy oraz gazu ziemnego od lipca zarobiła łącznie 97 miliardów dolarów. W tym aż 74 miliardy pochodziły ze sprzedaży ropy.

Międzynarodowa Agencja Energii szacuje, że w samym lipcu Rosja eksportowała średnio 7,4 miliona baryłek dziennie – głównie ropy naftowej, ale też oleju napędowego czy benzyny. Od początku roku to spadek rzędu 600 tysięcy baryłek dziennie.

Mniej, ale więcej

Choć eksport ropy spadł, Rosja zarabia na nim średnio w tym roku 20 miliardów dolarów miesięcznie, czyli więcej niż podczas odbudowy światowej gospodarki po pandemicznym kryzysie – w 2021 roku średniomiesięczny zarobek ze sprzedaży ropy wynosił w Rosji 14,6 miliarda. Firma Vortex, która monitoruje ruch statków, donosi ponadto, że w sierpniu tego roku liczba transportów z Rosji jeszcze się powiększyła.

Wprawiło to w zakłopotanie amerykański rząd, który z jednej strony pragnie zmniejszyć inflację podczas wzrostu światowego zapotrzebowania na ropę, z drugiej strony – chce utrzymać sankcje nałożone na Rosję za atak na Ukrainę.

Krótko po rozpoczęciu wojny ceny ropy sięgnęły 130 dolarów za baryłkę. Aktualnie ustabilizowały się na poziomie 100 dolarów za baryłkę. Wciąż są zauważalnie wyższe w porównaniu do zeszłego roku, ale spadek cen gazu ziemnego w Stanach i Europie pociągnął za sobą także obniżenie cen ropy.

Handlowcy naftowi i przedstawiciele branży żeglugowej są zdania, że Rosji udało się znaleźć nowych kupców, nowe środki płatnicze i handlowców, dzięki czemu sprzedaż rosyjskiej ropy i gazu na nowo rozkwitła.

„Doszliśmy do wniosku, że świat potrzebuje ropy, a nikt nie jest na tyle odważny, żeby wprowadzić embargo na 7,5 miliona baryłek rosyjskiej ropy i produktów ropopochodnych dziennie" – powiedział Siergiej Wakulenko, analityk i były szef rosyjskiego resortu energii.

Kiedy USA i Unia Europejska ograniczyły import rosyjskiej ropy, ta zaczęła trafiać do krajów azjatyckich, które postanowiły pozostać neutralne w trwającym konflikcie. Nieoczekiwanie otworzył się także rynek bliskowschodni. Rosja eksportuje swój olej opałowy (lekko rafinowaną ropę) do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Arabii Saudyjskiej czy Egiptu.

Arabia Saudyjska opala rosyjską ropą swoje elektrownie. Zjednoczone Emiraty Arabskie natomiast mieszają ją z ropą irańską, żeby zamaskować pochodzenie mieszanki i sprzedać amerykańskim rafineriom.

Naftowy gigant Saudi Arabian Oil może kupować rosyjską ropę po obniżonych cenach, a później eksportować ją po cenach rynkowych. „Saudyjczycy chętnie kupują ropę i sprzedają ją, zamiast spalać" – przyznaje Carole Nakhle, dyrektor zarządzający firmy konsultingowej Crystol Energy. Takie posunięcie zwiększa też ruch na światowym rynku, utrzymuje podaż na ropę, a to pomaga utrzymać wysokie ceny. „To sytuacja korzystna dla Rosjan, a nawet, powiedziałbym, dla Europejczyków i USA" – podsumowuje Nakhle.

Oprócz tego handel ten wzmacnia więzi Rosji z Bliskim Wschodem. Putin stara się wykorzystać napięcia między Saudyjczykami a Stanami Zjednoczonymi. Rząd Arabii Saudyjskiej postanowił oprzeć się amerykańskim naciskom na pompowanie większej ilości ropy. Dzięki temu utrzymał wzrost cen rynkowych, a to z kolei pomogło Rosji, która musiała obniżać ceny swoich surowców.

Książę Abdulaziz bin Salman, saudyjski minister energii, ogłosił nawet niedawno możliwość ograniczenia produkcji ropy, co byłoby wsparciem dla Moskwy.

Niedbałe oznakowanie

Kupno i sprzedaż rosyjskiej ropy nie są – w większości przypadków – nielegalne. Stany Zjednoczone i Unia Europejska nałożyły jednak sankcje dotyczące systemu finansowego, co oznacza, że płatność za ropę może przechodzić przez kraje nieobjęte sankcjami. Zapobiega to też dalszemu podnoszeniu cen energii.

Wiele zachodnich podmiotów – w tym banki oraz firmy handlujące surowcami – uznało za stosowne nie tylko działać w ramach prawa, ale też wykroczyć poza sankcje i zadeklarować z własnej inicjatywy odejście od handlu rosyjską ropą. Firmy takie jak Glencore PLC i Gunvor ograniczyły handel z rosyjską formą państwową Rosneft Oil. Mniejsi traderzy musieli przez to ułatwić rosyjski eksport. Przedstawiciele branży uważają, że to ci mniejsi handlowcy, aby obejść krótkie sankcje UE nałożone na Roseneft, przenieśli swoich przedstawicieli do Dubaju i Singapuru.

Żeby jej sztuczki w sprzedaży ropy były trudniejsze do wykrycia, Moskwa przestała publikować comiesięczne dane dotyczące wydobycia ropy naftowej itp., przez co ciężej jest mierzyć aktywność Rosjan. Handlowcy przyznają, że dokumentacja prowadzona przez rosyjskie porty także często nie zawiera informacji o docelowych portach czy przewoźnikach.

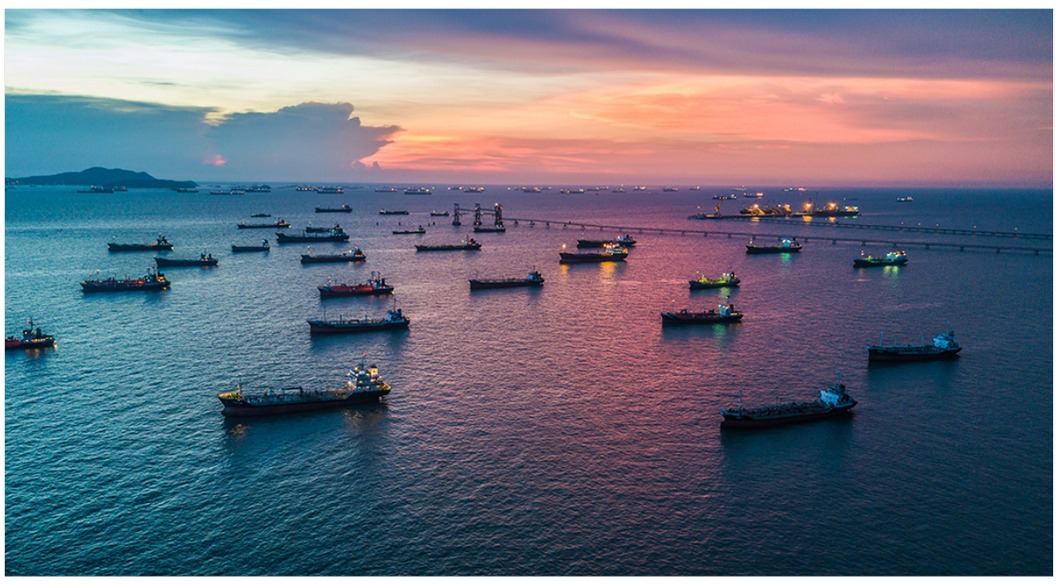

Rosyjska ropa jest przenoszona przez pośredników z pokładu jednego statku na inny podczas rejsu. Takie działania są kosztowne, ale pozwalają ukryć pochodzenie surowca. Dzięki temu instytucje finansowe zgadzają się na finansowanie i ubezpieczanie przesyłek.

Handlowcy uważają, że rosyjska ropa – wraz z irańską i wenezuelską – trafia do centrum handlowego w Fudżajrze, gdzie specjalnie się ją ukrywa. Pochodzenie ropy można poznać po cechach jej składu chemicznego, jednak etykiety nie zawsze podają prawdziwe pochodzenie.

Takie ruchy na rynku naftowym pozwoliły ustabilizować rosyjski przemysł energetyczny, któremu początkowo faktycznie zagrażały europejskie i amerykańskie sankcje. Na początku roku szacowano, że dzienny eksport ropy z Rosji może spać o 3 miliony baryłek.

Zmiana rynków

Na sytuacji zyskały Chiny, Turcja oraz kraje bliskowschodnie – otrzymały rabaty i zwiększyły zakup rosyjskiej ropy, tworząc dla niej nowe szlaki handlowe. Niektóre państwa kupują ropę z Rosji, rafinują ją i eksportują dalej na Zachód jako benzynę albo olej napędowy.

W tej chwili największym rosyjskim klientem zostały Indie. Indyjskie firmy już po kilku tygodniach od inwazji na Ukrainę otrzymywały prawie milion baryłek ropy dziennie, chociaż władze poleciły im nieimportowanie jej z Rosji.

Ostatnio ten wynik nieco spadł, a to z powodu prowadzonych prac konserwatorskich w indyjskich rafineriach, jak twierdzi członek zarządu państwowej firmy Indian Oil. Jednak firma zakontraktowała ropę od Rosnieftem do 2028 roku.

„Rosyjska ropa trafi do Indii, Chin i na inne rynki" – ocenia Jewgienij Gribow, były kierownik rosyjskiego producenta ropy Lukoil PJSC. „Nawet sprzedawane z rabatem dadzą środki spokojnie wystarczające, aby nadal napędzać wojnę".

Próby przetrzymania

Eksperci z sektora energetycznego sądzą, że w dalszej perspektywie Moskwa może mieć problemy z utrzymaniem pozycji głównego eksportera ropy. Chińskie i indyjskie rafinerie mogą przyjąć tylko pewną ilość surowca. Problemem będzie też brak dostępu do zachodniego oprogramowania i technologii pozwalających na sprawne i wydajne funkcjonowanie rosyjskiego przemysłu energetycznego w przyszłości.

Wiele powinno się rozstrzygnąć w zimie. Już 5 grudnia Unia Europejska chce wprowadzić embargo na rosyjską ropę. Możliwe, że także ubezpieczanie oraz finansowanie transportu rosyjskiej ropy stanie się karalne. Niektórzy eksperci wątpia, by do tego faktycznie doszło, ale jeśli tak się stanie, rosyjska gospodarka będzie w poważnych tarapatach.

Stany Zjednoczone nie chcą wprowadzać tak daleko idących sankcji, żeby nie wywoływać wzrostu cen energii.

Arkady Gevorkyan, analityk Citigroup, szacuje, że nawet 1,25 miliona baryłek ropy i paliw, które obecnie trafiają z Rosji do Europy każdego dnia, może potrzebować nowego rynku zbytu. Z kolei Livia Gallarati z Energy Aspects uważa, że produkcja kondensatu w Rosji może zmniejszyć się o 2 miliony baryłek dziennie do końca marca 2023.

Stany Zjednoczone próbują przekonać Unię, że najlepsze będą sankcje, które z jednej strony ograniczą rosyjskie dochody ze sprzedaży ropy, z drugiej strony jednak nie wpłyną na wzrost cen energii. Zdaniem Waszyngtonu należałoby zakazać ubezpieczania transportów jedynie w sytuacji, w której przewożone baryłki nie spełniają limitu cenowego. To zmniejszyłoby dochody Moskwy i jednocześnie hamowało osiąganie kolejnych szczytów cenowych.

Jednak wprowadzenie zaplanowanych przez Unię restrykcji byłoby sygnałem europejskiej gotowości do przyjęcia ciężaru ekonomicznego w imię solidarności z Ukrainą. Część komentatorów jest zdania, że w takiej sytuacji Moskwa mogłaby wstrzymać dostawy gazu ziemnego do Europy. Już teraz przesył ograniczono do 20 proc. możliwości gazociągu Nord Stream.

Źródło: Le Figaro

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - *Warszawa – Polska* ***Numer 15(27)/2022***

Czerwona linia globalnej recesji. Europa,

Szok gazowy w Europie, gwałtowny wzrost stóp procentowych w Stanach Zjednoczonych, niekończące się blokady i poważny kryzys na rynku nieruchomości w Chinach. Jeden po drugim, główne motory światowej gospodarki zatrzymują się lub wychodzą nawet za czerwoną linię. „Chmury recesji zbierają się na całym świecie" — ostrzega Seth Carpenter, główny ekonomista amerykańskiego banku Morgan Stanley. „Konsumentów czeka długa, mroźna zima" — dodaje Tamara Basic Vasiljev z Oxford Economics.

Jak podkreśla francuski dziennik „Le Monde", wśród ekonomistów panuje niepokojący konsensus: strefa euro znajdzie się w recesji do końca 2022 r. Stanom Zjednoczonym może uda się jej uniknąć, ale nie uniknie poważnego spowolnienia, a Chiny, które przez ćwierć wieku były motorem światowej gospodarki, rozwijają się wolniej niż kiedykolwiek.

Do tego należy dodać Wielką Brytanię, która prawdopodobnie już jest w recesji, Europę Środkową, która mocno ucierpiała z powodu wojny na Ukrainie, oraz wiele krajów wschodzących, przechodzących poważny kryzys: Liban, Sri Lanka, Pakistan, który jest prawie bankrutem, i Turcja, którą zmiata galopująca inflacja (80 proc.).

„Nie jest to jednak scenariusz katastrofy. Nie jesteśmy na skraju wielkiego kryzysu, jak ten z 2008 r." — mówi Alejandra Grindal z Ned Davis Research.

Jednak rzeczywiście zmierzamy do globalnej recesji. Szwajcarski bank UBS również przewiduje „płytką" recesję w Europejskiej Unii Monetarnej.

Nieprzejednana polityka Chin

Rok 2022 rozpoczął się rzadkim wybuchem optymizmu. Pandemia COVID-19 wydawała się zakończona, a gospodarstwa domowe nie ucierpiały zbytnio dzięki bezprecedensowej pomocy rządowej. Inflacja zaczęła rosnąć, ale większość uważała, że dzieje się to głównie w USA i jest przejściowe.

Ten różowy scenariusz został przerwany z dwóch powodów. Po pierwsze, Zachód przeżywa najgorszy od czterdziestu lat skok inflacji, spowodowany zakłóceniami gospodarczymi, które nastąpiły po kryzysie zdrowotnym — przerwaniem łańcuchów dostaw, napięciem na rynkach pracy — a następnie wojną na Ukrainie. Po drugie, Chiny nadal stosują szczególnie nieprzejednaną politykę „zero COVID".

To powolne rozczarowanie znajduje odzwierciedlenie w stale obniżanych prognozach Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW). W październiku 2021 r. MFW prognozował na 2022 r. globalny wzrost na poziomie 4,9 proc., w kwietniu obniżył go do 3,6 proc., a w lipcu do 3,2 proc. Wielu ekonomistów uważa ten poziom i tak za zbyt optymistyczny: Morgan Stanley spodziewa się 2,5 proc., a BHF Oddo prognozuje 2,8 proc.

Wielki szok gazowy

Gazeta przypomina, że na początku 2021 r. gaz w Europie (na rynku holenderskim, który jest benchmarkiem) był sprzedawany po 15 euro za MWh. W połowie czerwca cena wynosiła 100 euro. 1 sierpnia minęła granicę 200 euro. W poniedziałek 29 sierpnia jego cena wynosiła 282 euro, po krótkim skoku do 340 euro.

„Szok jest bezprecedensowy" — mówi Caroline Bain, specjalista ds. surowców w Capital Economics. „Nawet w latach siedemdziesiątych nie było to możliwe w przypadku gazu" — dodaje.

Ten „szok gazowy", podobnie jak dawne „szoki naftowe", będzie miał dwa gwałtowne, bezpośrednie skutki. Pierwsza dotyczy konsumentów, którzy wydają średnio prawie 10 proc. swoich dochodów na energię. Rosnące ceny ogrzewania, elektryczności, benzyny na stacjach benzynowych itd. powodują wzrost inflacji, która w strefie euro zbliża się do 9 proc.

„Spowoduje to spadek dochodów rozporządzalnych gospodarstw domowych o 4 proc. w tym roku" — mówi w rozmowie z „Le Monde" Andrew Kenningham, ekonomista strefy euro w Capital Economics. „A to może doprowadzić do recesji pod koniec tego roku" — dodaje.

Zacieśnienie polityki pieniężnej

Drugi szok dotyczy przemysłu. Niektóre fabryki zaczynają wstrzymywać produkcję, ponieważ ta staje się opłacalna. Ostatnio belgijska firma Nyrstar ogłosiła, że zawiesza działalność swojej huty cynku w Budel w Holandii.

Szczególnie dotknięte są dwa kraje, które zachowały znaczącą bazę przemysłową: Niemcy i Włochy. Przed wojną na Ukrainie ekonomiści spodziewali się, że w 2022 r. Niemcy odnotują średnio 3,5 proc. wzrostu, teraz stawiają na 1,5 proc.

„To wciąż zbyt optymistyczny scenariusz" — twierdzą ekonomiści BHF Oddo, zaznaczając, że prawdopodobnie aktywność Niemiec będzie musiała zostać obniżona o co najmniej kolejny punkt.

Do tych trudności dochodzi jeszcze zacieśnienie polityki pieniężnej przez Europejski Bank Centralny (EBC). W obliczu gwałtownie rosnącej inflacji EBC podniósł w lipcu stopę procentową po raz pierwszy od 2011 r., zwiększając ją o pół punktu do 0 proc. W sobotę 27 sierpnia Isabel Schnabel członek zarządu instytucji z Frankfurtu, przypomniała, że to dopiero początek, wzywając do „zdecydowanych działań" ze strony EBC. To sugeruje, że 8 września, na kolejnym posiedzeniu, EBC podniesie stopę procentową o co najmniej 0,5 punktu, a może nawet o 0,75 punktu.

Dobra wiadomość jest taka, że strefa euro odnotowała solidny wzrost na początku roku: 0,5 proc. w pierwszym kwartale i 0,6 proc. w drugim. Był to jednak w zasadzie efekt nadrabiania zaległości po pandemii. W szczególności powróciła turystyka, z tego powodu spowolnienie będzie ograniczone w trzecim kwartale, który obejmuje lato. Z drugiej strony czwarty kwartał, kiedy grzejniki zaczną pracować będzie bolesnym okresem.

Fed jest zdeterminowany

Z kolei Stany Zjednoczone mają za sobą trudny początek roku pod względem gospodarczym: produkt krajowy brutto (PKB) spadł o 0,4 proc. w pierwszym kwartale i o 0,2 proc. w drugim. Spadek ten był spowodowany głównie słabymi wynikami handlu zagranicznego i nie najlepszym zarządzaniem zapasami w firmach. Gospodarka krajowa nie wpadła jednak w recesję. Trzeba przyznać, że Stany Zjednoczone nie przeżywają takiego szoku jak Europa: gaz — produkt trudny do transportowania, którego ceny różnią się w zależności od regionu świata — jest w handlu osiem razy tańszy.

Wielką czarną plamą pozostaje inflacja, która mimo lekkiego spadku, w lipcu utrzymała się na poziomie 8,5 proc. Amerykańska Rezerwa Federalna (Fed) chce zrobić wszystko, co w jej mocy, by sprowadzić go z powrotem do długoterminowego celu, jakim jest 2 proc. Nawet jeśli oznacza to — jak podkreślił 26 sierpnia prezes Jerome Powell — nałożenie „bolesnych konsekwencji na gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa".

Ciąg dalszy na stronie 5

USA, Chiny w gospodarczych tarapatach

Od marca Fed podniósł już stopę procentową o 2,25 punktu, do przedziału między 2,25 proc. a 2,5 proc. Zacieśnianie polityki pieniężnej zaczyna być odczuwalne — w szczytowym momencie pandemii 30-letni kredyt hipoteczny o stałym oprocentowaniu kosztował 2,7 proc., dziś jest to 5,5 proc.

Czy to zacieśnienie doprowadzi w końcu do recesji? Czy też, mówiąc inaczej, Fed zdoła obniżyć inflację bez zwiększania liczby osób poszukujących pracy? Na razie rynek pracy trzyma się zaskakująco dobrze. Bezrobocie utrzymuje się na najniższym poziomie od pięćdziesięciu lat, a ostatnie dane dotyczące tworzenia miejsc pracy (pół miliona w lipcu) są dynamiczne.

„Ten trend nie wydaje się trwały" — twierdzą ekonomiści UBS.

Zauważają, że Amerykanie coraz częściej sięgają po karty kredytowe lub pożyczki konsumpcyjne, aby zrekompensować sobie spadek siły nabywczej. Co więcej, rynek pracy jest napięty".

Pandemia i kryzys w nieruchomościach

„W 2000 r. Chiny stanowiły 4 proc. światowego eksportu. Dziś to 15 proc. (do tego należy dodać 3 proc. dla Hongkongu). Przez długi czas kraj ten był motorem globalnego wzrostu, zapewniając mile widziane wytchnienie po wielkim kryzysie finansowym z 2008 r." — przypomina „Le Monde".

„To już nie jest prawda" — dodaje jednak gazeta.

W drugim kwartale PKB Chin (statystyka, którą należy traktować z przymrużeniem oka, ponieważ często jest przeszacowana) — spadł o 2,6 proc. Bezrobocie wśród młodzieży miejskiej jest rekordowo wysokie i wynosi 20 proc. W ciągu roku gospodarka znalazła się w stagnacji. Jest to konsekwencja polityki rządu pekińskiego „zero COVID". Z kolei w dziesiątkach dużych miast doszło do blokad, w tym w Shenzhen, ekonomicznej potędze południa i w Szanghaju, gospodarczej stolicy kraju.

Jednocześnie wydaje się, że spełnia się jedna z największych obaw ekonomistów od wielu lat: ogromny krach na rynku nieruchomości, który w ostatnich latach odpowiadał za jedną czwartą wzrostu gospodarczego Chin. Ogromne budynki stoją puste z powodu braku nabywców, deweloperzy bankrutują, a sporo placów budowy jest opuszczonych. Wielu właścicieli, którzy kupili nieruchomości, a ich realizacja została wstrzymana, rozpoczęło strajk, ponieważ muszą spłacać kredyty.

Prezydent Chin Xi Jinping chciał osiągnąć 5,5 proc. wzrostu w 2022 r. Jednak według MFW nie przekroczy on 3,3 proc. 24 sierpnia Pekin przedstawił nowy plan, mający na celu ożywienie gospodarki znajdującej się na półmetku. „Lekarstwo" będzie kosztowało 2,6 bln juanów (377,3 mld euro), co ma uratować wzrost gospodarczy kraju.

Źródło: Le Monde

Użycie energii jako broni obróci się przeciwko Rosji. Jak bumerang

Analityk Markus Ziener twierdzi, że zachodnie dostawy broni na Ukrainę mają wpływ na przebieg wojny, ale nie stanowią jeszcze punktu zwrotnego. „Od początku inwazji rząd Wołodymyra Zełenskiego otrzymał tysiące sztuk broni i zaawansowane systemy obronne, takie jak HIMARS, które pomogły powstrzymać rosyjską armię na wschodzie kraju" — mówi ekspert German Marshall Fund w rozmowie z hiszpańskim dziennikiem „La Razón".

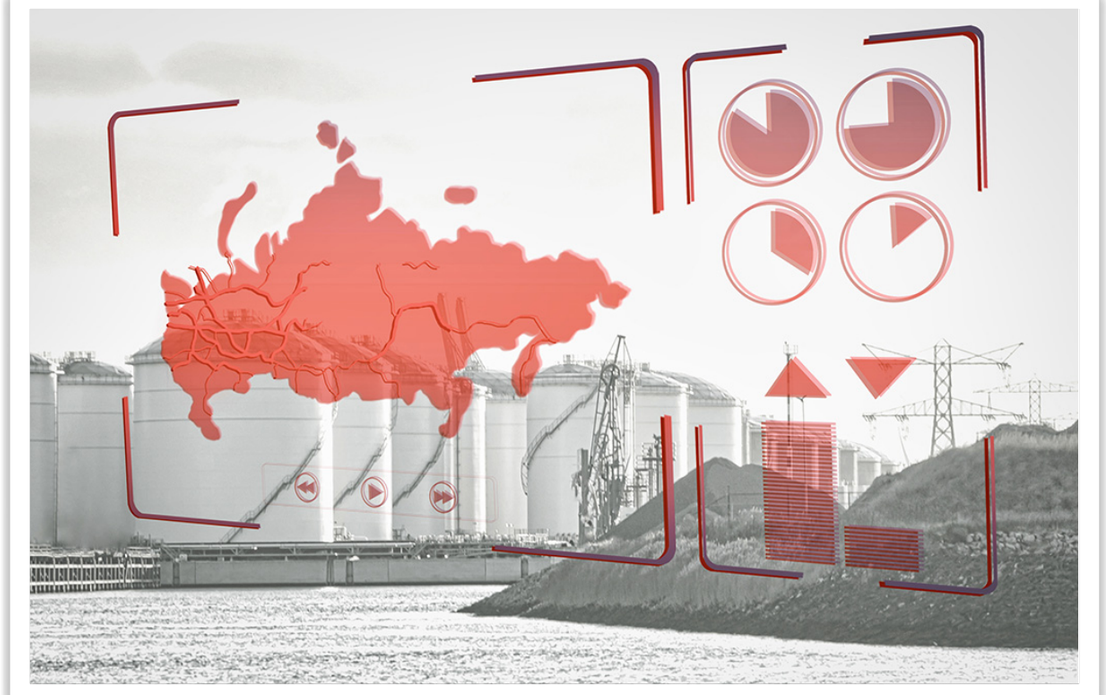

Czy brak broni i jednostek wojskowych jest obecnie dużym problemem dla Rosji? Czy może pojawi się w dłuższej perspektywie?

W szóstym miesiącu wojny na Ukrainie coraz trudniej jest dokonywać dokładnych ocen. Uwaga świata skupia się na innych, bardziej aktualnych konfliktach, które coraz częściej zajmują pierwsze strony mediów. Zachodnie służby wywiadowcze nieustannie donosiły o poważnych słabościach rosyjskiej armii, a nawet przewidywały jej rychły upadek, ale nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie, Rosja powoli posuwa się naprzód w Donbasie, a obrona zdobytego miasta Chersoń nadal trwa. Zachodnie dostawy broni przynoszą efekty, choć nie przyczyniają się jeszcze do osiągnięcia punktu zwrotnego. Zachód wciąż nie zrekompensował podstawowego problemu Ukrainy, jakim jest brak nowoczesnej broni. Na przykład Ukraina nie otrzymała żadnych systemów obrony powietrznej dalekiego zasięgu. Dopiero gdy nastąpi całkowite zaprzestanie rosyjskich ataków lub gdy wojska rosyjskie wycofają się, jak to miało miejsce w marcu pod Kijowem, będzie można mówić o sytuacji przełomowej. Zachodnie narracje należy więc traktować z wielką ostrożnością, szczególnie mówiąc o problemach militarnych Rosji.

Jakie wnioski wyciągasz z sześciu miesięcy wojny, jeśli chodzi o strategię wojskową?

Rosyjska siła militarna była przeceniana w pierwszych tygodniach wojny, ale sytuacja się zmieniła. Wydaje się, że Rosja wyciągnęła wnioski z poważnych błędów popełnionych w początkowej fazie, kiedy to brak koordynacji i planowania doprowadził do ogromnych strat i ostatecznie do wycofania się wojsk spod Kijowa. Jednocześnie zniszczenie przez Rosję ukraińskich fabryk broni doprowadziło do sytuacji, w której Kijów jest niemal całkowicie zależny od dostaw broni z zagranicy. Wojna trwa nadal, a Ukraina nie zdołała odzyskać tego, co straciła. Jest oczywiste, że Rosja nie doceniła siły militarnej, oporu Ukrainy i pomocy Zachodu dla Kijowa. Jednocześnie, choć Ukraina dzielnie opiera się rosyjskiej machinie wojskowej, nadal cierpi z powodu własnych błędów popełnionych w początkowej fazie wojny, kiedy to na przykład Chersoń znalazł się pod kontrolą Rosjan na początku marca.

Rosja nie jest tak odizolowana na arenie międzynarodowej, jak chciałyby tego Stany Zjednoczone. Wiele krajów afrykańskich, a zwłaszcza azjatyckich, nie potępiło rosyjskiej agresji. Czy ta wojna może podzielić świat na dwa obozy?

Poparcie Ukrainy i Zachodu jest bardzo ograniczone do niektórych części świata. Rosyjska propaganda, która szerzy narrację o tym, że Moskwa jest otoczona przez NATO i że musi się wyzwolić dzięki tej wojnie, została uznana przez wiele krajów. Dlaczego? Dla niektórych jest to okazja do odegrania się na Stanach Zjednoczonych lub wyrównania starych porachunków z czasów kolonialnych. Mogą też wierzyć, że lepiej im będzie z Rosją (lub Chinami) jako partnerem. To jednak może być wielkim błędem. Rosja odczuje konsekwencje sankcji za rok lub dwa. To, czego teraz można uniknąć z ekonomicznego punktu widzenia, będzie skutkowało poważną recesją w późniejszym czasie. Potęga ekonomiczna Rosji zmniejszy się, a dochody ze sprzedaży energii spadną. Używanie energii jako broni, jak to ma miejsce obecnie, jest działaniem na zasadzie bumerangu. Na Zachodzie już teraz powoduje to dystansowanie się od rosyjskiej energii i reorientację na inne źródła. Rosja z pewnością straci większość atrakcyjnych ekonomicznie zachodnich rynków zbytu.

Zamach bombowy na córkę Dugina oraz ukraińskie ataki na Krymie i w innych regionach przygranicznych wskazują na zmianę kierunku konfliktu. Czy Ukraina staje się bardziej asertywna wobec Moskwy? Co oznaczają te wydarzenia?

Kijów wyraźnie zdystansował się od ataku na rosyjską nacjonalistkę Darię Duginę (który mógł być wymierzony w jej o wiele ważniejszego ojca). To było inne zachowanie niż w przeszłości, kiedy zdarzały się podobne rzeczy, a Kijów reagował powoli. Nadal jednak nie wiadomo, kto stoi za eksplozją i istnieje możliwość, że Ukraińcy mieli z nią coś wspólnego. Możliwe jest również, że tło zamachu jest czysto rosyjskie. Bardzo możliwe, że ten epizod jest wstępem do nowej fazy wojny przeciwko Ukrainie. Czołowi rosyjscy propagandziści już wzywają do ataku na „centra decyzyjne" w odpowiedzi na ten zamach. Jednak z dnia na dzień jedna rzecz staje się coraz bardziej oczywista: Kijów chce przenieść wojnę na rosyjską ziemię, aby mieszkańcy Rosji poczuli, co tak naprawdę się dzieje. Na ulicach Moskwy i Petersburga wojna jest czymś odległym, z czym ludzie stykają się tylko wtedy, gdy są konfrontowani z państwową propagandą. Większość poległych i rannych żołnierzy pochodzi z odległych części Rosji, więc w dużych miastach Rosji nie można dowiedzieć się bezpośrednio zbyt wiele o wojennej rzeczywistości.

Źródło: La Razon

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 15(27)/2022*

G-7 planuje nowe sankcje na rosyjską ropę

Lada dzień państwa zachodnie powinny przedstawić nowy plan ograniczenia cen rosyjskiej ropy naftowej. Jej wprowadzenie przewidziano na grudzień – przypomina „The Wall Street Journal".

Ministrowie finansów z siedmiu najbogatszych krajów demokratycznych (G-7) mają się spotkać, by zatwierdzić plan ograniczenia cen rosyjskiej ropy oraz jego finansowanie.

Plan ten może być przełomowy, jeśli chodzi o ograniczenie dochodów Rosji ze sprzedaży energii. Dotychczasowe starania przyniosły niewielkie skutki, tymczasem wojna na Ukrainie nie ustaje. Jednak ustalenie limitu cenowego wiąże się z kilkoma problemami, które muszą zostać rozwiązane.

Sprzedaż ropy naftowej i gazu ziemnego to istotne źródło dochodów finansujące rosyjską armię i stanowiące prawie połowę wpływów do rosyjskiego budżetu. Zachodni przywódcy od miesiąca starają się wypracować plan, który pozwoliłby jednocześnie ograniczyć te wpływy oraz utrzymać odpowiednią ilość ropy na globalnych rynkach, aby – i tak już wysokie – ceny energii nie podniosły się po raz kolejny.

Plan ten zakłada, że kraje należące do G-7 zabronią finansowania i ubezpieczania transportów rosyjskiej ropy naftowej, jeśli będzie ona sprzedawana powyżej ustalonego limitu cenowego. Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje, że kraje należące do G-7 stanowią łącznie trochę ponad 30 proc. światowej gospodarki, jednocześnie ubezpieczają przeszło 90 proc. globalnego ruchu morskiego.

„Naszym celem jest stworzenie takiej struktury zezwoleń, która pozwoli na przepływ rosyjskiej ropy, ale zmniejszy ich dochody" – powiedział amerykański zastępca sekretarza skarbu Wally Adeyemo.

Do tej pory nie osiągnięto porozumienia w kwestii ceny, która miałaby stanowić limit. Chodzi o znalezienie złotego środka pomiędzy ograniczeniem dochodów Rosji a zachętą do sprzedaży surowca. Baryłka ropy na nowojorskiej giełdzie kosztowała ostatnio około 90 dolarów. Analitycy uważają, że pochodząca z Rosji ropa już teraz sprzedawana jest o 20 dolarów poniżej światowych benchmarków.

Planowane ograniczenie cen miałoby dotyczyć nie tylko ropy, ale także produktów ropopochodnych, w tym oleju opałowego – następnego ważnego towaru eksportowego Rosji.

Amerykańska sekretarz skarbu Janet Yellen już wiosną tego roku zaczęła opowiadać się za wprowadzeniem limitu cenowego. Wcześniejszy unijny plan zakazujący importu i ubezpieczania rosyjskiej ropy mógłby bowiem poskutkować dużym wzrostem cen. Zdaniem Yellen może to wpłynąć na wzrost inflacji i wywołać globalną recesję gospodarczą. Co więcej, w takim układzie Moskwa będzie mogła odrobić straty na ilości sprzedaży ropy – podnosząc jej ceny.

Europejscy urzędnicy z kolei wątpią, by ich plan miał się przełożyć na wzrost cen. Amerykanie zaś sądzą, że unijny zakaz mógłby podnieść cenę ropy nawet do 140 dolarów za baryłkę.

Planowane obecnie sankcje dotyczące ubezpieczania i finansowania transportów rosyjskiej ropy mają zostać wprowadzone 5 grudnia. Oznaczałoby to odejście od zakazu ubezpieczeń, dzięki czemu zachodnie firmy mogłyby dalej obsługiwać finansowo transporty rosyjskiej ropy także poza USA i UE, jeśli tylko nie wykraczałaby ona poza limit cenowy.

Jednak w grupie G-7 nie ma pełnej zgody co do amerykańskiej propozycji. Dyskusje dotyczą między innymi tego, ile krajów spoza grupy musiałoby przyjąć ustalony limit cenowy, by projekt mógł skutecznie zadziałać.

Kraje należące do G-7 dążą do zakazu importu rosyjskiej ropy. Plan polegałby zatem na tym, by narzucić limit cenowy na innych nabywców, głównie z Azji i Afryki. Firmy działające w tych krajach musiałyby przyjąć określony limit cenowy, by móc importować rosyjską ropę transportowaną na statkach ubezpieczanych przez zachodnie firmy.

Nie ma jednak pewności co do wsparcia planu poza grupą G-7. Eksperci twierdzą, że nie ma dużych szans na przekonanie Chin do tego pomysłu. Najprawdopodobniej Indie także nie zgodzą się na podpisanie planu, a to właśnie w tym kraju import rosyjskiej ropy wzrósł praktycznie od zera do prawie miliona baryłek dziennie.

Jeszcze zanim unijny zakaz ubezpieczeń zaczął obowiązywać, indyjscy handlarze zaczęli opracowywać sposoby obejścia zachodniego ubezpieczania czy w ogóle finansowania transportów rosyjskiej ropy.

Dlatego europejscy urzędnicy chcą, by przed wprowadzeniem planu G-7 podpisały się pod nim kraje importujące rosyjską ropę, między innymi Turcja, RPA czy Egipt. Amerykanie są odmiennego zdania – dla nich początkowy zasięg koalicji nie jest tak istotny, ponieważ jeśli uda się ograniczyć ceny w Europie i Ameryce Północnej, pozostali nabywcy zaczną się domagać podobnych rabatów od Rosji. Co prawda Moskwa może opracować inne sposoby transportu swojej ropy, jednak te rozwiązania także będą dla niej kosztowne.

Wśród ekspertów nie ma jednak zgody co do tego, że Rosja zgodzi się na sprzedaż ropy w ramach narzuconego limitu cenowego. Ograniczyła już europejskie dostawy gazu ziemnego, co wpłynęło na wzrost cen tego paliwa. Część analityków spodziewa się, że podobne ograniczenia mogą dotyczyć ropy, jeśli Zachód będzie próbował regulować ceny.

Zdaniem Amerykanów Rosja będzie kontynuowała sprzedaż ropy i zgodzi się na obniżenie cen, ponieważ ryzyko zmniejszenia produkcji i zamykania szybów będzie dla niej zbyt duże.

W przypadku Unii Europejskiej pojawia się jeszcze problem administracyjny – nie ma scentralizowanego organu, który byłby odpowiedzialny za sankcje (ich wprowadzanie i kontrolę). Firmy ubezpieczeniowe i bankowe mogą też porzucić rynki poszczególnych państw członkowskich.

Przede wszystkim jednak wprowadzenie nowego planu sankcji w Unii wymagałoby jego zatwierdzenia przez każde z 27 państw członkowskich, co również może przysporzyć trudności.

Źródło: The Wall Street Journal

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 15(27)/2022*

Chiny na rozdrożu

Amerykański dwumiesięcznik „Foreign Policy” donosi o bieżących sprawach związanych z Chinami. Informuje m.in. o wycofaniu się Estonii i Łotwy z chińskiego forum dyplomatycznego i handlowego w Europie Środkowo-Wschodniej.

W poprzednim roku podobną decyzję podjęła Litwa. Grupa, która pierwotnie składała się z 17 państw oraz Chin obecnie liczy więc trzech członków mniej i traci na znaczeniu. Całkiem możliwe, że na podobny krok zdecyduje się Słowacja będąca w ostatnich latach zagorzałym krytykiem Pekinu.

To pokazuje, jak bardzo chińska dyplomacja ucierpiała w wyniku wojny w Ukrainie. Brak potępienia agresji przez Pekin, usprawiedliwianie Putina oraz zrzucanie winy na NATO nie zostało dobrze przyjęte w Europie Wschodniej. Nie dziwi też, że największym zwolennikiem Chin w Europie jest premier Węgier Viktor Orban, postrzegany jako sojusznik Putina.

Zwłaszcza kraje bałtyckie są wyczulone na tym punkcie. W 1941 r. Związek Radziecki dokonał ich brutalnej aneksji. Obecnie mogą też czuć pewne powinowactwo z Tajwanem, który jest zagrożony przez wielkiego sąsiada. Antychińskie nastroje zaostrzyło też zeszłoroczne zastraszanie Litwy, a powodem był spór o status dyplomatyczny Tajwanu w tym bałtyckim kraju. Pekin ostatecznie zerwał więzi handlowe z Wilnem i starał się zmusić inne kraje do tego samego. Grupa 17+1 rozpoczęła działalność w 2012 r. jako 16+1. W 2019 r. dołączyła do niej Grecja. W oczach chińskich analityków był to przełom, gdy tymczasem niektórzy Europejczycy postrzegali to jako sposób Pekinu na podważenie jedności na Kontynencie. Chiny obiecały liczne inwestycje w ramach Inicjatywy Pasa i Drogi, co zarówno w Pekinie, jak i Waszyngtonie było przedstawiane jako arcydzieło strategii dyplomatycznej i gospodarczej. Ostatecznie jednak rzeczywistość rozminęła się z obietnicami, doprowadzając nawet do zadłużenia rozwijające się kraje. Podobnie stało się w przypadku grupy 17+1 i to jeszcze zanim wycofała się Litwa. Budowa linii kolejowej między Belgradem a Budapesztem jest opóźniona i przekracza budżet. Niezależne węgierskie media szacują, że potrzeba 130 lat, aby trasa przyniosła zyski. Nie rozpoczęto nawet budowy planowanej elektrowni. Niektórzy przywódcy zaczęli rezygnować ze wspólnych europejsko-chińskich przedsięwzięć.

Także Unia Europejska straciła zaufanie do Chin, a umowa handlowa z Państwem Środka jest martwa od marca 2021 r., kiedy to Pekin nałożył sankcje na europejskich polityków za krytykę łamania praw człowieka. Największym sprzymierzeńcem ChRL są Niemcy, gdzie na pierwszym miejscu stawia się biznes, ale i to może się zmienić pod wpływem nastawienia niemieckiej opinii publicznej. Równocześnie europejskie firmy w Chinach coraz częściej myślą o opuszczeniu tego państwa.

Dyplomacji nie służy też niechęć prezydenta Chin Xi Jinpinga do podróży zagranicznych. Xi nie opuścił Chin od stycznia 2020 r., choć nie ma pewności, czy wynika to z obaw związanych z COVID-19, czy z ze strachu przed utratą kontroli w kraju podczas nieobecności.

Saudyjskie źródła podają wprawdzie, że Xi zamierza odwiedzić w najbliższym czasie Rijad, jednak bardziej prawdopodobna jest jego wizyta w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie mógłby się spotkać z prezydentem USA Joe Bidenem. Nastąpiłoby to po kluczowym listopadowym zjeździe krajowym Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Władza Xi wydaje się ugruntowana, ale agresywny ton chińskiej dyplomacji wciąż stanowi trwały hamulec dla rozwiniętych krajów.

Na zmianę władzy się nie zanosi

Dobiegła końca doroczna wizyta chińskich przywódców w kurorcie Beidaihe, gdzie odbywają się tajne spotkania poprzedzające wydarzenia polityczne. Choć w teorii jest to przerwa dla przywódców KPCh, to w rzeczywistości stanowi okazję do uprawiania polityki. Spotkania nie są oficjalnie ogłaszane, urzędnicy jednak znikają na jakiś czas z mediów. Jednak zarówno Xi, jak i premier Li Keqiang ponownie pojawiają się w doniesieniach z ostatnich dni.

Choć chińscy technokraci i zachodni biznes zaczęli snuć przypuszczenia, że aktualne niepowodzenia gospodarcze i dyplomatyczne Chin wzmocnią reformatorów wewnątrz KPCh, to niewiele wskazuje, że tak się stanie. Plotki wzbudziło złożenie hołdu przez Li przed stojącym w Guangdongu pomnikiem byłego przywódcy i reformatora Deng Xiaopinga. Faktycznych oznak osłabienia władzy Xi jednak nie ma. Nadal cieszy się on popularnością, mimo że przedkłada kontrolę polityczną i covidowe restrykcje nad wzrost gospodarczy.

Tajwańskie gierki

Po wizycie marszałek amerykańskiej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi na Tajwanie przybyła tam również delegacja z Kongresu. Pekin reaguje na to coraz częstszymi lotami nad wodami otaczającymi wyspę, mimo że oficjalne ćwiczenia już się zakończyły. Ta taktyka ma na celu normalizację wtargnięć, by zapewnić potencjalną osłonę przed faktycznym atakiem.

W odpowiedzi Tajpej zaprezentowało nowy odrzutowiec – choć może nie znaleźć odpowiednich ludzi do jego pilotowania. W latach 2011-2019 wyszkolono bowiem na wyspie zaledwie 21 pilotów.

Starcia kulturowe

Fala antyjapońskich nastrojów w Chinach po incydencie w świątyni w Nankinie osiągnęła absurdalne formy. W poprzednim tygodniu doszło do zatrzymania kobiety noszącej kimono w japońskim stylu. Na ujawnionym nagraniu policja krzyczy, że powinna założyć związane z chińskimi tradycjami hanfu. To zachowanie to tylko fragment większej ingerencji w kulturę, co po części napędza policja i cenzura. A ta ostatnia ma się w Państwie Środka całkiem dobrze.

Popularne w Chinach powieści internetowe, podobne do seryjnej XIX-wiecznej beletrystyki poddawane są kontroli, a nadgorliwi cenzorzy wycinają nawet sceny pocałunków. Niektóre szkice powieści w WPS Office – luźnym chińskim odpowiedniku Google Docs – zostały ocenzurowane, prawdopodobnie przez algorytm, jeszcze przed publikacją, a autorzy zostali pozbawieni dostępu do swoich dzieł.

Technika, biznes i gospodarka

Poniżej oczekiwań wypadło w zeszłym tygodniu kilka chińskich wskaźników ekonomicznych. Zmniejszyło to nadzieje na ożywienie gospodarcze po fatalnych danych związanych z ograniczeniami spowodowanymi pandemią z początku tego roku. Sprzedaż detaliczna w Chinach wzrosła zaledwie o 2,7 proc. w stosunku do ubiegłego roku, a ceny nieruchomości i nowe projekty nadal spadają. Niektóre szacunki wskazują, że rynek nieruchomości stanowi w tym kraju, aż 25 proc. PKB. W pierwszej połowie roku PKB wzrósł zaledwie o 2,5 proc., co nie pozwoli na osiągnięcie tegorocznego 5,5-proc. celu.

Reakcją Banku Centralnego Chin na tę sytuację była obniżka stóp procentowych o 0,1 proc. Premier Li wezwał sześć największych prowincji, wytwarzających 45 proc. PKB do wzięcia na siebie ciężaru wzrostu gospodarczego. Problemy ekonomiczne nie przestaną się jednak pojawiać, dopóki rząd nie zakończy polityki „zero COVID”. Związana z blokadami niepewność utrudnia wiele decyzji osobistych i biznesowych – od otwarcia restauracji, po wyjazdy wakacyjne.

Dobre wiadomości nie płyną też z sektora technologicznego. Internetowy gigant Tencent odnotował pierwszy w historii spadek przychodów. Nastąpiło to po wprowadzeniu limitów na gry dla młodzieży i naciskach rządu na sprzedaż udziałów w serwisie dostawczym Meituan. Choć interwencja rządu rozbijająca monopol może pomóc w tworzeniu się nowych firm, to atmosfera dla przedsiębiorców jest gorsza niż kiedykolwiek.

Swoje pięć groszy dorzuciły też temperatury. Tegoroczna fala upałów jest najgorszą od 1961 r., gdy zaczęto w Chinach je rejestrować. W południowej prowincji Syczuan dzienne temperatury sięgają 40 stopni Celsjusza, co nadwyrężyło dostawy energii. Jej zużycie wzrosło o 19 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem, a równocześnie aż o 7 proc. spadła produkcja, co wynika z niskiego poziomu wody w elektrowniach wodnych. W rezultacie fabryki w 19 z 21 miast prowincji zostały zamknięte na sześć dni.

Przez ostatnie dwie dekady chińska sieć energetyczna znacząco się poprawiła. Jak jednak zauważa analityk Lauri Myllyvirta, przestarzałe sieci wciąż powodują kłopoty, takie jak poważne braki w dostawach energii jesienią ubiegłego roku. Kiepskie perspektywy gospodarcze mogą tej zimy spowodować problemy zarówno dla energetyki, jak i środowiska. Choć wydaje się to paradoksalne, to ma uzasadnienie. Kiedy wzrost PKB jest poniżej oczekiwań, to ograniczenia nakładane na energochłonne i zanieczyszczające środowisko gałęzie przemysłu są zazwyczaj łagodzone.

Źródło: Foreign Policy

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska | *www.nowyswiat24.com.pl* | *Numer 15(27)/2022*

Chińczycy chcą kontrolować

ryzyko i ceny za pomocą rosyjskiej ropy naftowej

Japoński magazyn informacyjny „Nikkei Asia" analizuje na swoich łamach kwestie zakupu rosyjskiej ropy przez duże chińskie przedsiębiorstwa petrochemiczne.

Firma Sinopec Shanghai Petrochemical, jedna z największych rafinerii ropy naftowej w Chinach, przyznała się do kupowania rosyjskiej ropy naftowej. Guan Zemin, prezes tej notowanej na giełdzie w Nowym Jorku firmy, powiedział dziennikarzom i analitykom, że dokonany w pierwszej połowie roku zakup obejmował 99 tys. ton surowca.

Chiny, w przeciwieństwie do innych państw, nie przyłączyły się do sankcji na Rosję. Wspólnie z Indiami są głównym nabywcą tamtejszej ropy. Obecnie jest ona sprzedawana z dyskontem w stosunku do międzynarodowych benchmarków, takich jak Brent czy West Texas Intermediate.

Guan stwierdził, że zakupu dokonano z perspektywy „kontroli ryzyka" przy „stosunkowo korzystnej cenie". „Nasza ogólna zasada zakupu pozostaje taka sama, jak wcześniej" – dodał.

Prezes Sinopec Shanghai Petrochemical nie ujawnił dokładnego terminu i ceny zakupu, ale międzynarodowe ceny ropy wynosiły średnio ponad 100 dolarów za baryłkę w tym okresie. Trwająca wojna to kluczowy czynnik utrzymujący je na wysokim poziomie.

Szanghajski koncern petrochemiczny jest głównym konsumentem ropy naftowej. Przez pierwsze pół roku zużył prawie 6 mln ton surowca do produkcji różnego rodzaju materiałów chemicznych od etylenu przez tworzywa sztuczne po włókna. Choć import z Rosji stanowił jedynie 1,65 proc. całkowitego zużycia ropy, to mógł przyczynić się do zmniejszenia presji kosztowej w firmie. Wzrost kosztów operacyjnych spowodowany wysoką ceną ropy jest bowiem dużym problemem. Całkowity przychód w pierwszej połowie roku wzrósł o 23,6 proc. do 45,9 mld juanów (6,69 mld dolarów), jednak firma zanotowała stratę netto w wysokości 436 mln juanów. To znacząca różnica w porównaniu z ubiegłorocznym zyskiem w wysokości 1,24 mld juanów.

Aż 73,67 proc. dostaw pochodzi z Bliskiego Wschodu, co w porównaniu z poprzednim rokiem stanowi spadek o 3,54 punktu proc. Równocześnie zakupy z Europy, w tym z Rosji, wzrosły o 10 punktów proc. do 15,70 proc., natomiast z Ameryki Północnej spadły z 3 proc. do zera.

Guan wyjaśnił, że firma rozważa różne scenariusze związane z ogólną strukturą zaopatrzenia, trwałością źródeł i dostępnością odpowiedniego gatunku ropy. Dlatego nie może wykluczyć dalszych zakupów tego surowca od Rosji. Choć jak zauważył: „Dotychczas nie kupowaliśmy jeszcze rosyjskiej ropy w drugiej połowie roku".

Shanghai Petrochemical to jedno z pięciu chińskich przedsiębiorstw państwowych, które ogłosiły plany wycofania się z nowojorskiej giełdy. Wśród pozostałych znajduje się także spółka macierzysta Sinopec.

Z kolei państwowa firma naftowa CNOOC unika komentarza w kwestii swoich inwestycji w pola naftowe w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Na pytanie, czy przedsiębiorstwo rozważa wycofanie się z tych krajów w celu uniknięcia sankcji, prezes Wang Dongjin odparł, że firma „zawsze będzie starała się rozdzielić zasoby na całym świecie i szukać dobrych możliwości optymalizacji portfela aktywów". W kwietniu dyrektor finansowy Xie Weizhi powiedział, że CNOOC „nie planuje wyjścia z żadnego konkretnego regionu". Dodał też, że wszystkie zagraniczne projekty funkcjonują bez zarzutu, pomimo potencjalnych sankcji ze strony Zachodu związanych z rosyjską inwazją na Ukrainę. Xie wydał również oświadczenie w podobnym tonie jak Wang i wyjaśnił, że CNOOC jest globalną firmą naftową posiadającą aktywa typu upstream oraz wdrażającą projekty poszukiwawcze i rozwojowe na całym świecie. Z tego powodu „nieustannie poszukuje możliwości dostosowania i optymalizacji składu aktywów".

Chińskie państwowe spółki naftowe są postrzegane jako potencjalni nabywcy aktywów energetycznych zbywanych przez zachodnich partnerów w Rosji.

Źródło: Nikkei Asia

Wraz ze wzrostem EURIBOR znacząco rosną koszty kredytów hipotecznych

Gwałtownie rośnie inflacja w strefie euro. By ją powstrzymać, Europejski Bank Centralny zwiększa tempo zacieśniania polityki pieniężnej. Po podwyżce o 50 punktów bazowych w lipcu obecnie oczekuje się, że we wrześniu EBC ogłosi podwyżkę o 75 punktów bazowych – pisze „El Economista". 12-miesięczny EURIBOR zamknął sierpień na poziomie 1,2 proc. Osoby, które zaciągnęły kredyty hipoteczne o zmiennym oprocentowaniu, mają się czego bać.

Prognozy nie są optymistyczne. Stowarzyszenie Asufin przewiduje, że EURIBOR na koniec roku wyniesie 2,2 proc. Oznacza to, że kwota, którą będą spłacały rodziny w związku z zaciągniętym kredytem, wzrośnie o 130 euro (ok. 612 zł) miesięcznie i o ponad 1500 euro rocznie.

„Rynki dyskontują już podwyżki stopy depozytowej EBC o prawie 170 punktów bazowych do końca roku. Dzięki temu stopa procentowa wynosiłaby 1,75 proc. EURIBOR może zacząć dyskontować podwyżki stóp w 2023 r. i osiągnąć wyższe poziomy. Ostatecznie wskaźnik ten określa »cenę« (stopę procentową), po której banki pożyczają sobie pieniądze na rynku międzybankowym. Cena ta jest w dużej mierze kontrolowana przez decyzje EBC, który kieruje rynkami pieniężnymi w strefie euro" – pisze „El Economista".

W przypadku, gdyby ta tendencja się utrzymała, prawdopodobne jest, że w 2023 r. 12-miesięczna stopa EURIBOR osiągnie poziom 3 proc. Byłoby to już ogromnym wyzwaniem dla kredytobiorców, gdyż oznaczałoby to wzrost kosztów kredytów hipotecznych o ponad 2 tys. euro rocznie (tj. ok. 780 zł miesięcznie), biorąc za punkt odniesienia 25-letni kredyt na 100 tys. euro (ok. 471 tys. zł).

„Znany wczoraj miesięczny EURIBOR na sierpień w wysokości 1,25 proc. oznacza przekroczenie psychologicznej bariery 1 proc. oraz to, że kredyt, który zostanie poddany weryfikacji w tym miesiącu, wzrośnie o prawie 1000 euro (konkretnie 978 euro) w wyniku zwiększenia miesięcznej raty o 81 euro" – zauważa „El Economista". Asufin przypomina przy tym, że kiedy w kwietniu indeks przekroczył psychologiczną barierę dodatniej cyfry, wynosząc 0,01 proc., wzrost raty wyniósł zaledwie 23 euro (ok. 108 zł), a różnica w skali roku 272 euro.

Stowarzyszenie twierdzi, że „zmiany te są już przenoszone na stałe kredyty hipoteczne, przy czym w wielu przypadkach »oferta znika«, ponieważ banki są bardzo ostrożne, jeśli chodzi o przyznawanie zmian ze zmiennych na stałe kredyty hipoteczne".

Należy też zwrócić uwagę na łączną sprzedaż produktów poza pożyczką, w celu dostosowania ceny w dół. „Ostateczna cena kredytu hipotecznego, wyrażona w APR, wraz z produktami, takimi jak ubezpieczenia czy plany emerytalne, jest zazwyczaj wyższa niż gdybyśmy zrezygnowali z rabatu zastosowanego do stopy procentowej i udali się na rynek w poszukiwaniu lepszych opcji" – zauważa Asufin.

Źródło: El Economista

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
9 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 15(27)/2022*

W Hiszpanii coraz trudniej o nowe lokum

O tym, jak wygląda obecnie zakup mieszkania w Hiszpanii i czy stać na to przeciętnego obywatela – pisze „El Economista". Jak zapewne i w innych krajach, zależy to od miejsca zamieszkania, wysokości zarobków i wielkości rodziny. Ale to nie wszystko – zauważa dziennik, zwracając uwagę na obecne niespokojne czasy, ogromną inflację i słabą siłę nabywczą.

Inflacja to wyższe ceny domów, a więc konieczność brania większych kredytów hipotecznych. W efekcie trzeba się liczyć z koniecznością dłuższego spłacania rat. W obecnej sytuacji wielu Hiszpanów nie stać na zakup nowego mieszkania, zwłaszcza że wiele osób nie jest w stanie związać końca z końcem. „Koszty utrzymania pochłaniają coraz większą część twoich dochodów, co sprawia, że bycie kolejnym właścicielem domu w kraju właścicieli domów staje się praktycznie nieopłacalne" – pisze „El Economista".

Coraz mniej Hiszpanów może sobie pozwolić na własne mieszkanie

Pierwszą przeszkodą w kupowaniu nowego lokum jest konieczność zebrania kwoty niezbędnej jako wkład własny. Do tego dochodzą takie koszty jak tytuł własności czy podatek od nieruchomości. Na dodatek banki stawiają ostatnio wyższe wymagania związane z uzyskaniem kredytu hipotecznego. Stało się to więc bardziej skomplikowane. Dla coraz liczniejszej grupy osób dostęp do mieszkania pozostaje więc marzeniem. Wiele zależy od tego, gdzie mieszkają, jakie w danym regionie jest średnie wynagrodzenie, jakie są tam średnie ceny domów i koszty życia.

„W Hiszpanii średnia cena domu wynosi 164 390 euro, a średnie wynagrodzenie netto rodziny to około 38 tys. euro rocznie. Biorąc pod uwagę, że podstawowe wydatki wynoszą 28805 euro, a tylko połowa pozostałego dochodu (8664 euro) jest przeznaczana na zaliczkę, budżet, jaki pozostaje parze, wynosi 4759 euro rocznie, czyli około 400 euro miesięcznie" – podaje gazeta.

Nawet przy średniej pensji dla wielu osób spłacenie kredytu jest niemożliwe. Wynosi ona bowiem ok. 75 proc. dochodów przeciętnej rodziny (po uwzględnieniu podstawowych wydatków). Hiszpańska rodzina potrzebowałaby około 10 lat, aby zaoszczędzić na zaliczkę, na dom i 25 lat na spłatę kredytu hipotecznego. Gdyby się jednak zdecydowali, pozostałoby im zaledwie około 200 euro miesięcznie, które mogliby przeznaczyć na oszczędności lub nieprzewidziane wydatki.

Regiony nieosiągalne

Najdrożej jest w Madrycie, na Balearach, w Katalonii i Kraju Basków. Tu dostęp do mieszkania jest praktycznie niemożliwy nawet przy dwóch pensjach. W gminie Madryt średnia cena mieszkania wynosi 279735 euro, a średnia pensja rodzinna to 44 852 euro rocznie. Na Balearach jest to odpowiednio 254915 euro i 37995 euro. Z badań wynika, że kredyt hipoteczny na dom w tych dwóch regionach w takich warunkach wynosi od 900 do 1000 euro miesięcznie, a jego całkowita spłata zajmie rodzinom od 43 do 48 lat.

Jeśli chodzi o okres spłaty, to zmienia się niewiele. Najczęściej wynosi on maksymalnie 30 lat Jednak warunki uzyskania kredytu i wymagania banków stają się coraz bardziej rygorystyczne.

Najbardziej dostępnymi regionami, jeśli chodzi o zakup mieszkań, są Asturia i Kastylia-La Mancha. Tu rodziny mają szansę zachować nawet 500-600 euro miesięcznie po spłaceniu kredytu hipotecznego i pokryciu miesięcznych wydatków.

Kobietom trudniej

Kupno domu zajmuje samotnej kobiecie sześć lat dłużej niż mężczyźnie. Wynika to przede wszystkim z różnic w zarobkach. Przeciętna samotna kobieta nie byłaby w stanie kupić mieszkania w większości wspólnot autonomicznych Hiszpanii. Wyjątkiem są Murcja, Kastylia, La Mancha i Ceuta. Chcąca nabyć dom Hiszpanka musiałaby płacić tylko za kredyt hipoteczny około 600 euro miesięcznie przez 25 lat. Oszczędzanie na zaliczkę na dom (około 33000 euro) zajęłoby jej średnio 16 lat. Potrzebowałaby więc około 41 lat, aby zakończyć płacenie za nieruchomość, a to przekroczyłoby dany przez bank czas. W przypadku samotnego mężczyzny średnia ta skróciłaby się do 35 lat.

Brak podaży nieruchomości

Nawet ci, których byłoby stać na wzięcie kredytu i zakup nowego lokum, mają nieduże szanse, by to zrobić. W ostatnich latach Hiszpanie trzymają swoje domy dłużej niż kiedyś, zanim je sprzedadzą. Od czasu osiągnięcia dna w 2009 r., przy średniej długości 7,3 roku, czas ten nieprzerwanie rośnie, podwajając się w ciągu nieco ponad dekady. Według danych Biura Rejestracji Nieruchomości pod koniec 2021 r. wynosił on średnio 16,4 roku. Oznacza to wzrost o 5 proc. w stosunku do roku 2020. Jest to też ponad dwukrotnie dłużej od średniej odnotowanej po pęknięciu bańki mieszkaniowej. To historyczny rekord.

Skąd taki trend? Według Donpiso spowodowany jest on niską produkcją nowych domów w Hiszpanii w ostatnich latach oraz faktem, że nowe budownictwo, mimo pewnej poprawy pod względem ilości, nadal utrzymuje się na niskim poziomie. „W latach bańki sprzedano ponad 300 tys. nowych domów, podczas gdy obecnie sprzedajemy średnio około 70 tys. mieszkań rocznie. Oznacza to, że podaż jest niewystarczająca, a rotacja mieszkań mniejsza, co również może wpływać na ten wskaźnik" – tłumaczy Emiliano Bermúdez, zastępca dyrektora generalnego portalu nieruchomości. Na dodatek banki zaostrzyły wymagania przy udzielaniu kredytów na zakup mieszkań. Wiele rodzin nie jest więc w stanie kupić nowego domu, zazwyczaj większego i bardziej odpowiadającego ich potrzebom.

Jednak według eksperta w perspektywie średnioterminowej nastąpi zmiana trendu. Twierdzi on, że w ciągu najbliższych kilku lat obroty mieszkaniowe będą rosły.

Źródło: El Economista

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *Numer 15(27)/2022*

„Afgańskie kobiety” to ka

Odkąd talibowie przejęli kontrolę nad Afganistanem, po wycofaniu się z tego kraju Stanów Zjednoczonych, narzucili mieszkającym tam kobietom wiele ograniczeń – między innymi zabronili pracy czy podróżowania na większe odległości bez towarzystwa mężczyzn. Dziewczętom umożliwiono kształcenie jedynie na podstawowym poziomie, nie mogą dłużej uczyć się w szkołach średnich. W maju do tych ograniczeń doszło kolejne – od teraz afgańskie kobiety muszą nosić burkę, strój zakrywający całe ciało, choć nie jest on wcale tradycyjnym strojem afgańskim – alarmuje portal Foreign Policy.

Talibowie w Afganistanie na każdym kroku łamią prawa człowieka, jednak ich sposób traktowania kobiet nie wywołuje tych samych reakcji, co podobne sytuacje w innych regionach. Dlaczego tak się dzieje?

Minęły już przeszło dwie dekady od terrorystycznego ataku na World Trade Center. Temat „ratowania afgańskich kobiet” – obecny wtedy w mediach – powraca, jednak niewiele poprawia sytuację, w jakiej te kobiety się znajdują. A to także za sprawą tego, że samo określenie „afgańskie kobiety” jest konstrukcją polityczno-ekonomiczną, która służy instrumentalizacji kobiet z Afganistanu. Konstrukcję tę tworzą od 20 lat kraje Zachodu, przywódcy Afganistanu, a nawet – w pewnym zakresie – same kobiety z Afganistanu.

„Kobiety afgańskie” to teraz termin-pudełko. Faktyczne kobiety, by móc się w nie wpasować, muszą być ofiarami przemocy, apelować o pomoc, nosić określone stroje, szczególnie zaś – muszą być ambitne, by ludzie z Zachodu je uratowali. Taki model „afgańskich kobiet” to okazja do ubicia interesów.

Taka instrumentalizacja nie jest czymś nowym. Prawa kobiet w Afganistanie były wykorzystywane do polityki i handlu już na początku XX wieku, za panowania króla Amanullaha Chana. Afgański władca próbował odwzorować reformy przeprowadzone przez ówczesnego władcy Turcji – Mustafy Kemala Atatürka. Wraz z reformami kobiety zyskały więcej swobód.

Powstała wtedy pierwsza afgańska szkoła dla dziewcząt – i to z inicjatywy królowej Sorayi Tarzi. W 1919 r. kobiety zyskały prawo do głosowania. Wszystko to (i jeszcze nieco więcej) trwało jednak stosunkowo krótko. Wielka Brytania uznała bowiem, że król Amanullah wsparł antybrytyjskie powstanie w Indiach. Wsparła więc bunt przywódców plemiennych i duchowych w Afganistanie, przez co Amanullah został w 1929 r. zdetronizowany.

Kolejna instrumentalizacja kobiet miała miejsce w latach 80. XX wieku, gdy Afganistanem targała wojna domowa. Mudżahedini wspierani przez USA walczyli z komunistycznym rządem. Posługiwali się gwałtami i przemocą seksualną wobec kobiet z prokomunistycznych rodzin. Gwałcone przez mudżahedińskich żołnierzy kobiety opuszczały następnie kraj wraz z rodzinami, część z nich zaś popełniała samobójstwa.

Na początku XXI wieku, zaraz po zamachu z 11 września 2001 r., doszło do kolejnej instrumentalizacji afgańskich kobiet. Tym razem to Amerykanie potrzebowali je, by mieć komu nieść ratunek przeprowadzaną przez siebie inwazją. Terminem „afgańskie kobiety” szafowali wtedy wszyscy zachodni politycy, łącznie z przedstawicielami ONZ i innych humanitarnych organizacji. Dzięki temu można było przedłużać amerykańską interwencję.

„Afgańskie kobiety” (jako termin, oczywiście, nie jako realne osoby) przeniknęły do organizacji humanitarnych, na uniwersytety, konferencje i do globalnego dyskursu. Kobiety z Afganistanu mogły w zasadzie uczynić głównym zajęciem reprezentowanie swojego kraju – i wiele faktycznie wybrało taką drogę.

Spotkań na temat „afgańskich kobiet” było na Zachodzie bardzo dużo – organizowały je państwowe agencje i rozmaici darczyńcy. Wśród publiczności zaś zasiadali przede wszystkim biali mężczyźni. Problem „afgańskich kobiet” chcieli zwykle rozwiązać finansowaniem kobiecych organizacji, za czym jednak stały różne warunki. Zdanie samych zainteresowanych – to znaczy kobiet z Afganistanu – nie miało tam wielkiego znaczenia.

Zachodni darczyńcy stawiali się za każdym razem w pozycji ludzi „rozwiniętych” i „cywilizowanych”, których pozycja pozwalała dyktować afgańskim kobietom, co jest dla nich dobre. Nie chcieli słuchać, jaka pomoc jest faktycznie potrzebna, oferowali tylko taką, jaką sami uznali za stosowną. Żeby było im łatwiej, wrzucili do jednego worka – z etykietą „afgańskie kobiety” – 15 mln ludzi. Wszystkie kobiety w Afganistanie postrzegane były jako biedne i potrzebujące.

Ciąg dalszy na stronie 11

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - *Warszawa – Polska* ***Numer 15(27)/2022***

rta przetargowa talibów

Oczywiście bogate mocarstwa mogą i powinny wspierać biedniejsze kraje. Ale wsparcie to musi odpowiadać na realne potrzeby, a ci, którzy je otrzymują, muszą rozwiązywać problemy we właściwy dla nich sposób.

Ciągle mówiono (i pisano) o „afgańskich kobietach", ale rzadko dopuszczano je do głosu. Dlatego model ofiary rzadko mógł być konfrontowany ze stanem faktycznym. A przecież nie wszystkie kobiety z Afganistanu były w stanie zaakceptować taką tożsamość. Składa się na nią mentalność ofiary, niewielka możliwość decydowania o sobie czy czymkolwiek innym, brak uczestnictwa w sferze publicznej czy nierówność wobec prawa. Nie wszystkie kobiety w Afganistanie znajdowały się w takiej sytuacji, ale nie udało im się zwalczyć tego stereotypu.

Być może niewystarczający opór wobec narzucanej przez zachód tożsamości „afgańskich kobiet" brał się – przynajmniej po części – z tego, że określenie to stało się wygodne i otwierało różne drzwi. Dzięki plakietce „afgańskich kobiet" można było nie tylko zyskać pomoc różnych organizacji, ale także stypendia czy darmowe szkolenia. Zyskiwało się też medialne zainteresowanie. Aby utrzymać te profity, należało odgrywać wyznaczoną rolę.

Niektóre studentki z Afganistanu wolały przyjmować rolę „biednej Afganki", ponieważ obawiały się, że zaprezentowanie siebie jako silnej kobiety, która nie była ofiarą, zmniejszy ich szansę na dostanie się na zagraniczne uczelnie. Zasługiwały na swoje akademickie miejsca, ale czuły, że Zachód oczekuje od nich pewnych postaw, które nie opierały się na inteligencji czy zdolnościach.

Podobnie sytuacja wygląda w organizacjach pomocowych. Potrzebują one afgańskich kobiet i etykietki, którą usilnie im doklejają, ponieważ dzięki temu mogą zdobywać finansowanie dla swoich projektów, co wiąże się z utrzymaniem miejsc pracy i przepływu finansów. Była urzędniczka afgańskiego rządu, Salma Alokozai, przyznała kiedyś: „Określenie »afgańskie kobiety afgańskie« dusi mnie, ponieważ reprezentuje nieszczęście i odnosi się do biznesu, z którego korzystają jego interesariusze. Nie opisuje ani kobiet w Afganistanie, ani tego, co z nimi związane".

Także po stronie Afganistanu przywódcy – i to zarówno politycy, przywódcy plemienni, jak i talibowie – wykorzystują model „afgańskich kobiet" jako narzędzie w relacjach z zachodnimi krajami. Przez ostatnie dwie dekady afgański rząd stworzył niewiele programów skierowanych do kobiet, a te, które powstały, miały na celu przyciąganie darczyńców.

Zagraniczne finansowania pozwalały też zmniejszyć wydatki budżetowe Afganistanu na rzecz kobiet. Tworzono też iluzję zmiany – na przykład włączano kobiety do jednostek policyjnych, ale nie wykorzystywano ich do faktycznego zwalczania przestępczości, miały tylko poprawiać wizerunek rządu i umożliwiać dostęp do kolejnych funduszy. Zresztą kobiety chętnie były wciągane w rozmaite struktury społeczne i do różnych programów właśnie po to, by za ich sprawą zdobyć dostęp do nowych środków.

Talibowie, którzy rok temu przejęli władzę nad państwem, także znają wartość karty przetargowej „afgańskich kobiet" i wykorzystują ją w negocjacjach z zachodnimi rządami. Chcieli na przykład zdobyć miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych w zamian za opuszczenie dziewczynek do podstawowej edukacji.

Choć zabraniają kobietom pracy biurowej, to nie przeszkadza im, kiedy żebrzą one na ulicach – w tym nie dopatrują się naruszania zasad islamu. Uczestnictwo kobiet w edukacji jest do pewnego stopnia dozwolone, ale muszą uczęszczać na lekcje w czarnym hidżabie. Paradoksalnie kobietom w Afganistanie wolno (pod pewnymi warunkami) studiować, nie mogą tylko uczęszczać do szkół średnich – co de facto uniemożliwia im, dostanie się na uczelnie wyższe. Ciężko doszukać się w tym logiki, ale nie o logikę tutaj chodzi, a na utrzymanie tematu „afgańskich kobiet" na ustach światowej publiczności, bo to jedyny sposób zwrócenia międzynarodowej uwagi na problemy tego kraju.

Za ten stan rzeczy współodpowiedzialna jest część kobiet w Afganistanie. Nauczyły się one wykorzystywać przypisaną im etykietkę. W efekcie przestano zwracać uwagę na ich realne potrzeby, a zaczęto je kreować w zgodzie z oczekiwaniami darczyńców.

Kobiety umieszczano na stanowiskach kierowniczych w rozmaitych instytucjach i organizacjach – zarówno na szczeblu krajowym, jak i międzynarodowym. Ale nie mogły na nich wiele zdziałać, bo stanowiska te miały zwykle symboliczny charakter – były wyłączone z realnego procesu decyzyjnego. Były jednocześnie na tyle atrakcyjne dla zajmujących je kobiet, że te bardzo rzadko wyrażały jakikolwiek protest.

Część zabierała głos. Były to jednak nieliczne wyjątki, którym udało się uzyskać dostęp do tej czy innej międzynarodowej platformy medialnej. Jednostki te tworzyły jednolity obraz ogółu kobiet w Afganistanie – tak jakby 15 mln z nich miało taką samą sytuację, te same poglądy polityczne i społeczne.

„Afgańskie kobiety" stały się specyficznym plemieniem, do którego przynależność uwarunkowana jest odgrywaniem wyznaczonej przez etykietkę roli. Gdy któraś z nich uzyskiwała niezależność i na przykład wykształcenie, traciła swoją plemienną identyfikację, nie była już ofiarą potrzebującą pomocy i zostawała „Afganką z diaspory".

Uprzedmiotowienie Afganek poskutkowało także tym, że znacząco ograniczono zakres ich politycznej pracy. W zasadzie przez ostatnie dwie dekady jakikolwiek kobiecy aktywizm w Afganistanie koncentrował się jedynie na prawach i problemach kobiet – zupełnie porzucając wszystkie inne kwestie społeczno-polityczne. Było to jednocześnie zgodne z dominującą narracją: skoro „afgańskie kobiety" nie miały świadomości bycia instrumentalizowanymi, były zbyt słabo zorientowane, by móc działać na innych polach.

Czy Afganki miały w ogóle możliwość zaprotestowania przeciwko narzuconej im etykietce? Możemy dziś uznać, że tak, jednak powstrzymywał je lęk przed utratą środków zapewnianych przez zagranicznych darczyńców – dotacji, stypendiów itd.

Specjalna wysłanniczka Stanów Zjednoczonych do spraw afgańskich kobiet, dziewcząt i praw człowieka, Rina Amiri, na swoim koncie na Twitterze najczęściej pisze o tym, jak talibowie łamią prawa kobiet. Popełnia przy tym istotny błąd, ignorując problemy ekonomiczne czy państwowe kraju. To błąd, który Zachód popełnia od 20 lat. Kobiety z Afganistanu nie żyją w oderwaniu od swojego kraju i nie są jedyną grupą społeczną, której prawa są łamane przez talibów.

Część kobiet z Afganistanu próbowała walczyć z wykreowanym przez Zachód stereotypem. Kształciły się, zajmowały istotne role w społecznościach i rodzinach, uprawiały sport – słowem: rosły w siłę. Nie stawiały się w roli ofiar i szukały dostępu do globalnej społeczności silnych kobiet. Ceną, jaką musiały zapłacić, była utrata wsparcia darczyńców. Likwidowano stanowiska pracy i projekty organizacji pozarządowych zajmujących się „wyrównywaniem szans", bo wydawało się, że te zostały już wyrównane przynajmniej na tyle, by kobiety nie potrzebowały dłużej ratunku.

To znaczy, nie potrzebowały go do roku 2021, bo wtedy cały bohaterski wcześniej świat Zachodu, tak troszczący się o „afgańskie kobiety", dobrowolnie oddal je w ręce terrorystycznej grupy, która na nowo pozbawiła je praw. Teraz kobiety, które przez ostatnie dwie dekady zyskiwały siłę i możliwość działania, nie mogą pracować, kształcić się czy uczestniczyć w życiu publicznym.

Afgańska działaczka Mina Sharif twierdzi, że granie kartą „afgańskich kobiet" musi być dopasowywane do budżetów państw niosących pomoc. „Kobiety w Afganistanie muszą być uciskane przez jakiś czas, żeby znów stały się przedsiębiorstwem dla gospodarki pomocowej" – oceniła.

„W 2001 r. Amerykanie i ich sojusznicy najechali Afganistan, aby wzmocnić pozycję afgańskich kobiet, a po 20 latach wygląda na to, że jesteśmy zbyt silne, aby nas słuchać" – twierdzi z kolei afgańska artystka Rada Akbar.

Kobiety w Afganistanie potrzebują faktycznej pomocy. Jednak nie powinny jej dostawać za cenę poniżania i ograniczania możliwości działania. Muszą zostać uznane za równe – najpierw przez społeczność międzynarodową, by mogły tego samego wymagać od talibów. Dopóki będą uprzedmiotawiane, dopóty talibowie będą próbowali politycznie nimi handlować.

Źródło: Foreign Policy

Ilustracja na podstawie fot. Wikimedia Commons

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska | *www.nowyswiat24.com.pl* | *Numer 15(27)/2022*

Christoph Bouillaud o nadchodzących włoskich wyborach

Już niedługo, 25 września, we Włoszech odbędą się wybory parlamentarne. Z tej okazji „Figarovox" przeprowadziło wywiad z profesorem Christophem Bouillaudem, specjalistą od włoskiej polityki.

Jak to się stało, że w wyborach do włoskiego parlamentu, które odbędą się już 25 września 2022 roku, bierze udział tak dużo partii?

Nie jest to nowa sytuacja. Przez dwadzieścia lat faszystowskiej dyktatury mieliśmy system jednopartyjny, ale odkąd w 1945 roku wróciła demokracja, włoskie życie polityczne jest bardzo pluralistyczne.

Wynika to między innymi z tego, że nurty polityczne zwykle mają swoje pięć minut sławy, popularności, a kiedy ta się wyczerpuje, partie nie chcą całkowicie zniknąć. Dlatego nie schodzą ze sceny w zupełności, jacyś politycy i wyborcy, głosując w wyborach zawsze próbują je ocalić.

Inna rzecz, że pierwszy raz na początku lat 90., a drugi raz na początku 2010. pojawiły się we Włoszech siły polityczne, które zaczynając praktycznie od zera, szybko nabrały znaczenia – w latach 90. była to Liga Północna i Forza Italia (partia Silvio Berlusconiego), a w drugiej dekadzie XXI wieku – M5S (Ruch Pięciu Gwiazd). Teraz każdy, kto zakłada partię we Włoszech, wierzy, że zna magiczną receptę na osiągnięcie najwyższych sukcesów. I wielu próbuje.

Na koniec trzeba przyznać, że warunki zgłaszania kandydatów i list nie są szczególnie trudne zarówno dla aktualnych parlamentarzystów, jak i nowych partii.

Czy przez to włoska opinia publiczna jest rozproszona i podzielona?

Tak. Trwałość tak daleko posuniętego pluralizmu we Włoszech może się utrzymywać właśnie dlatego, że odzwierciedla ona podziały włoskiego elektoratu – podziały ekonomiczne, geograficzne, socjologiczne czy pokoleniowe. Wynikają one równolegle z historii politycznej oraz aktualnej sytuacji.

Większość włoskich partii buduje swoją markę na osobie swojego lidera. Jeśli któraś z nich zdyskredytuje lidera, ten najprawdopodobniej założy nową, własną partię, mając nadzieję, że sama jego popularność pozwoli zbudować elektorat. I faktycznie tak stało się na przykład z Matteo Renzim, dawnym liderem Partii Demokratycznej (PD) albo Luigim di Maio, kiedyś liderem M5S. Ta koncentracja na liderach mocno komplikuje krajobraz polityczny, ale też zwykle kończy się porażką.

Polityczne rekonstrukcje i partyjne rozłamy to włoska codzienność. Programy zmieniają się tak samo często, jak nazwiska czy sojusze.

To prawda, choć znaczy to, że takie możemy mieć wrażenie, jednak w rzeczywistości sama oferta polityczna w tym kraju jest całkiem stabilna. Migotanie nazwisk i programów jest w zasadzie pozorne, chociaż dezorientujące.

Tak naprawdę mamy ciągle do czynienia z czterema obozami.

Pierwszy to obóz prawicowy, choć po włosku określa się go jako „centroprawicę". Od lat 90. tworzą go cztery partie. Pierwsza była partia Silvio Berlusconiego, Forza Italia, która w zasadzie stworzyła go w 1994 roku; później Liga – połączone siły regionalnych lig z lat 90., która w 2013 roku przekształciła się w partię nacjonalistyczną Matteo Salviniego; trzecia jest partia Bracia Włoch (FdI) kierowana przez Giorgię Meloni, która jest spadkobierczynią tradycji neofaszystowskiej; dopełnia je wiele drobnych partii centrowych przed 1992 rokiem tworzących prawe skrzydło Chrześcijańskiej Demokracji. To zjednoczenie – widoczne szczególnie na szczeblu lokalnym – trwa w zasadzie od początku XXI wieku.

Drugi jest obóz lewicowy, choć i on po włosku określa się mianem „centrolewicy". Na jego czele stoi Partia Demokratyczna (PD), która powstała w 2000 roku z połączenia lewego skrzydła Chrześcijańskiej Demokracji i umiarkowanego odłamu Włoskiej Partii Komunistycznej (PCI). Od samego początku przewodniczy koalicji zorientowanej na europeizm i umiarkowany reformizm. W nadchodzących wyborach do koalicji wejdzie kilka niewielkich eurofilskich partii centrowych, między innymi partia Luigiego di Maio, także z paroma włoskimi ekologami.

Trzeci obóz to centrum. Po wojnie to on dominował we włoskiej polityce, szczególnie należąca do niego Chrześcijańska Demokracja. Jednak od lat 90. nie jest w stanie samodzielnie wygrać wyborów. Teraz jest tu paru liderów o wybujałym ego, którzy wierzą w możliwość odrestaurowania dawnej świetności. W najbliższych wyborach na czele będą stali przede wszystkim Matteo Renzi i Carlo Calenda, dawniej członkowie PD, którzy postanowili teraz połączyć siły w walce o centrowy elektorat, definiowany przez liberalizm gospodarczy i proeuropejskość. Najsilniej popierają działania rządu Mario Draghiego.

Czwarty obóz stanowi M5S, na której czele stoi teraz Giuseppe Conte, ale założył go Beppe Grillo w 2009 roku. M5S powstało jako partia zrzeszająca polityków niechcących należeć do żadnego z wcześniej opisanych obozów – tych, którzy byli rozczarowani każdym z tradycyjnych programów. W 2018 roku M5S sprzymierzało się z Ligą, później zawarli sojusz z PD i centrystami, w końcu i z Ligą, i z PD, centrystami, a do tego FI. W nadchodzących wyborach partia próbuje wrócić do własnej tożsamości zbudowanej dokoła spraw ekologicznych i społecznych, jednocześnie wykorzystując rozczarowanie elektoratu rządem Draghiego.

Każdy z opisanych obozów ma swoją grupę wyborców. Włosi rzadko zmieniają swoją orientację polityczną, ale mogą zmienić partię, na którą głosują albo liderów, których popierają w obrębie wybranego obozu. W dużej skali widzieliśmy to na prawicy – najpierw Silvio Bersluconi stracił poparcie na rzecz Salviniego, a niedawno ten na rzecz Meloni.

Ale Salvini wciąż cieszy się poparciem, choć Meloni ostatnio go wyprzedziła. Skąd ta szybka zmiana?

Meloni i jej partia zyskali poparcie wśród prawicowego elektoratu głównie dlatego, że nie byli częścią żadnego rządu uformowanego po 2018 roku. FdI konsekwentnie stanowiła opozycję. A ponieważ od początku XXI wieku Włochy przechodzą poważny kryzys (nie tylko ekonomiczny, ale i demograficzny czy społeczny), każdy kolejny rząd i tworzące go partie stawały się niepopularne. Matteo Salvini, należał do rządu Draghiego, ale próbował jednocześnie go krytykować, by w ten sposób nie tracić wśród swoich niezadowolonych wyborców. Ta taktyka go zawiodła, ponieważ opozycyjna FdI przyciągnęła niezadowolony elektorat prawicy. Meloni wykorzystała zresztą te nastroje i wytykała Salviniemu niespójność jego przynależności do rządu Draghiego.

Matteo Salvini stracił też sporo na wiarygodności z powodu swoich powiązań z Moskwą. Początkowo, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, próbował się z nimi kryć, ale były one powszechnie znane. Później wybrał się do Polski z podróżą humanitarną, ale został upokorzony przez prezydenta Przemyśla. W końcu przyjął postawę pacyfistyczno-rusofilską, zasłaniając się energetycznymi potrzebami włoskich przedsiębiorców. Prawicowy elektorat musiał zauważyć tę niestałość. W tej kampanii Salvini próbuje powtórzyć sukces Ligi z 2018 roku, podejmując temat walki z nielegalną imigracją, obniżenia podatków, zwiększenia bezpieczeństwa. Chce odbudować swój wizerunek. Najwyraźniej próbuje odbudować swój wizerunek poważnego polityka. Meloni natomiast jest konsekwentna i trudno podważać prawdziwość jej przekonań.

Czym wyróżnia się włoska kultura polityczna?

Dziś w naukach politycznych nie używa się już pojęcia „kultury politycznej", bo jest ono zbyt nieostre. Omówienie tutaj historii politycznej i instytucjonalnej Włoch zajęłoby za dużo czasu. Włochy to stara i rozwinięta demokracja, która obecnie znajduje się w stanie względnego upadku. Jednak dwie cechy włoskiej polityki są szczególnie wyraźne.

Pierwsza to trwająca od lat 70 ubiegłego wieku próba instytucjonalnego zażegnania kryzysu, w jakim znajduje się ten kraj. Pomysły na przełamanie problemów ekonomicznych, społecznych i demograficznych są różne. Ostatni to zmniejszenie liczby parlamentarzystów o jedną trzecią (postulowało to M5S) i tak będzie od nowej kadencji obu izb.

To poszukiwanie instytucjonalnych rozwiązań nie doprowadziło jak dotąd do żadnych rezultatów, mało tego – kryzys wydaje się nawet głębszy. Pokazuje to, że instytucje nie mają tak dużego znaczenia, jak same idee publicznej polityki.

A brak pomysłów na przeformułowanie polityki publicznej to właśnie druga z charakterystycznych cech. Rząd Draghiego, do którego należeli M5S, PD, Liga, FI i centryści, wybrał zachowawczy sposób sprawowania polityki publicznej, który nie podołał rozwiązaniu bazowych problemów. Moim zdaniem ten brak pomysłów wynika z trwałego osłabienia włoskich uniwersytetów, a to – z dotykających ich cięć budżetowych.

Źródło: Le Figaro

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
9 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 15(27)/2022*

O potrzebie powrotu do idei prometejskich

Gdy na Ukrainie trwa wojna z rosyjskim najeźdźcą, po stronie ukraińskiej walczy wielu Czeczenów, organizowanych przez Ahmieda Zakajewa, przedstawiciela Czeczenii na uchodźctwie. Walczy również wielu Gruzinów i Białorusinów. Tym samym zachodzi zjawisko przypominające wydarzenia sprzed ponad stu lat, kiedy to wraz z polską armią przeciwstawiającą się bolszewikom z bronią w ręku stawało wielu przedstawicieli rozmaitych narodów niewolonych przez Rosję. I tu warto przypomnieć, że sto lat temu Polska nie była jedynie bezwolnym obserwatorem tego, co działo się w obrębie ziem podbitych przez Białą lub Czerwoną Rosję, ale prowadziła aktywną politykę, nazywaną ruchem prometejskim.

Termin „prometeizm" został wymyślony przez pułkownika Tadeusza Schaetzla, oficera Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (wywiad). Jest tu nawiązanie do starożytnego greckiego mitu o Prometeuszu, który wykradł bogom ogień i tym ogniem obdarował ludzi; za karę został przykuty do skały, gdzie drapieżny ptak wydziobywał mu wątrobę. Trzeba przypomnieć, gdzie Grecy umieszczali tę skałę. Prometeusz został przykuty na Kaukazie. Greccy żeglarze pływali po Morzu Czarnym i świetnie znali wszystkie jego brzegi z okolicznymi krainami, tak więc wiedzieli, że w obrębie znanego im świata nie ma gór wyższych niż Kaukaz. Nadal ta ziemia spływa krwią, tym razem już nie Prometeusza, ale narodów które bądź bronią odzyskanej niepodległości, jak Gruzini, bądź dopiero pragną uzyskania niepodległości. Jest znamienne, że ochotnicy z Gruzji i Czeczenii licznie przybywają na Ukrainę by tu wspierać naród walczący o wolność. Aby powstrzymać rosyjski imperializm, trzeba połączonego wysiłku wszystkich ofiar tego imperializmu.

Po zwycięstwie nad bolszewikami w roku 1920 trwały wielomiesięczne negocjacje zakończone podpisaniem pokoju w Rydze czerwca 1921. Ten pokój stanowił odejście od promowanej przez Piłsudskiego idei federacyjnej, z nadziejami, że utworzy się sieć sfederowanych ze sobą państw Europy Środkowo-Wschodniej, zdolnych do wspólnej obrony przez zewnętrznymi agresorami. Jednak w kręgu osób związanych z Piłsudskim w miejsce zdezaktualizowanej idei federacyjnej przedstawiono nowy pomysł, mający na nowo wzmagać starania o wolność narodów ciemiężonych przez Rosję, a była to właśnie idea prometejska. Warto sobie o tym przypomnieć, bo i dziś Polska może być aktywnym graczem tak względem państw mających problem z naciekiem ze strony rosyjskiej, na przykład Kazachstanem, jak i z narodami, które dopiero teraz mogą zabiegać o niepodległość, na przykład Buriacją.

Kaukaz, ziemia Prometeusza, okazała się miejscem wielu udanych działań promujących wolność. Narody północnego Kaukazu i Zakaukazia, mimo różnic językowych, religijnych i historycznych, łączyła niechęć do północnego agresora, widoczna szczególnie w XIX w., kiedy to miejscowe elity polityczne rozbudzały i pogłębiały uczucia narodowe oraz integrowały obszary etniczne stanowiące dotąd amorficzny konglomerat dialektów, rożnych zwyczajów i prowincjonalnych odrębności. Narodziła się kaukaska myśl niepodległościowa, zaś pomimo różnic, także politycznych, a także antagonizmów wewnątrz poszczególnych państw, udało się osiągnąć pewną świadomość wspólnoty losu i, nie bez przeszkód, doprowadzić do wspólnego działania. To, że Lenin i Stalin tworzyli pseudo-autonomiczne republiki związkowe Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu wynikło z wcześniejszych faktów dokonanych w rozwoju tamtejszego ruchu niepodległościowego. Warto przy tym wspomnieć o tradycyjnie przychylnym nastawieniu miejscowych elit do Polski, o czym może świadczyć wojskowa umowa polsko-gruzińska z maja 1920. Niestety, w roku 1921 bolszewicy obalili niepodległe państwo gruzińskie, jednak kaukaskie elity polityczne nie poprzestawały na emigracyjnej wegetacji, włączając się w zainicjowany w Polsce ruch prometejski.

W Europie Środkowej mamy zróżnicowanie chyba jeszcze większe niż to zawsze się działo w rejonie Kaukazu. Szczęśliwie, koniunktura polityczna ostatnich dwudziestu lat doprowadziła, że główne państwa tego regionu są członkami Unii Europejskiej, a nadal trwają działania mające przyłączenie do UE kolejnych krajów bałkańskich. Sami z siebie tak byśmy się nie zjednoczyli, bo w tym regionie nadal istnieje wiele wewnętrznych antagonizmów. Jednak dziś fakt naszego polityczno- militarnego powiązania sprzyja temu, by budować rzeczywiste braterstwo, a w tle pomocy dla walczącej Ukrainy tak się faktycznie dzieje. Gdybyśmy chcieli powrócić do idei prometejskiej, warto by podjąć wspólne systematyczne działania na rzecz wspierania elit różnych narodów, dotąd pozostających pod butem Moskwy. I w tym jest dobre miejsce dla ambicji nieco dziś pogubionego Viktora Orbána. Jakiś czas temu Putin obiecał Orbánowi, że po pokonaniu Ukrainy odda Węgrom Ruś Zakarpacką, i to wydawało się wspaniałym spełnieniem węgierskich marzeń o przełamywaniu skutków traktatu z Trianon z 4 czerwca 1920, kiedy to ogromnie okrojono terytorialnie państwo węgierskie. Dzisiaj nie możemy sobie jednak pozwolić na wzajemne wyrywanie sobie takich czy innych ziem. Natomiast dobrą rolą dla Węgrów może być nawiązywanie bliskiej współpracy z tymi ludami znad Wołgi, które mówią pokrewnymi im językami. Jest miejsce na budowanie współpracy kulturalnej, gospodarczej, a na dalszym etapie również i politycznej. Gdy zaś coraz więcej narodów będzie się wyłamywało z Rosji, ostatniego na naszej planecie państwa kolonialnego, wówczas pogrzebany zostanie i sam imperializm rosyjski.

Sto lat temu akcja prometejska została zainicjowana rozwojem instytucji kształcących polskie elity w zakresie nauk o Wschodzie. W ramach tego dokonywało się gruntowne poznawanie kultur, społeczeństw i języków państw leżących za wschodnią granicą, wydawanie gazet przybliżających polskiej opinii publicznej skomplikowane zagadnienia narodowościowe i geopolityczne, wreszcie wspieranie środowisk emigracyjnych, a w ramach tego pomaganie im przezwyciężać swe wzajemne zantagonizowanie. Do dziś w Polsce istnieją pewne zainicjowane wówczas instytucje bądź ich sukcesorzy. Musimy tylko przestać je traktować jako miejsce aktywności szczupłego kręgu wąskich specjalistów, zaś potraktować jako ważny kierunek polityki państwa, w zazębieniu z wysiłkiem organizacji pozarządowych oraz polskiego biznesu. Warto też to sprzęgnąć z rozmaitymi wymiarami inicjatywy Trójmorza.

Marek Oktaba – architekt, teolog i działacz społeczny, zajmujący się m.in. pomocą bezdomnym, w ramach Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta, oraz akcją adopcji serca w Afryce. Uczeń nestora katolickiej nauki społecznej ks. prof. Józefa Majki. Specjalizuje się w etyce życia gospodarczego i teorii ładu przestrzennego.

Francji przydałoby się więcej pokory w polityce zagranicznej

Pojawiły się głosy, że władzę i wpływ na losy Europy przejęli Skandynawowie, Bałtowie i Polacy. Jednak to Francja wciąż pozostaje ważnym państwem w Europie, a równowaga w sprawach europejskich nadal leży po stronie Paryża, Berlina, Brukseli, Madrytu i Rzymu – pisze „La Croix".

Francuska gazeta przyznaje jednak, że „francusko-niemiecka para straciła legitymację w sprawie ukraińskiej". To Polska się nie myliła w swoim postrzeganiu Rosji. Jeśli Francja chce odzyskać zdolność do przewodzenia Europie i wypracować wspólne europejskie podejście do kraju Putina, musi podjąć zobowiązania. Pierwszym z nich jest potępienie Kremla i przyznanie Ukrainie statusu kandydata do UE. Paryż musi przedstawić swoją koncepcję europejskiej obrony i uznać przy tym centralną rolę NATO w tym obszarze. Przede wszystkim jednak jasno pokazać, że nie zamierza negocjować z Rosją w sprawie bezpieczeństwa. Warto by było, by władza francuska wznowiła projekt suwerenności europejskiej „poprzez wspieranie finansowania przez UE wysiłków państw członkowskich w zakresie obrony oraz rozwoju europejskiej bazy przemysłowej i technologicznej w obszarze obrony" – pisze „La Croix". Gazeta zauważa, że jest to niezbędne, by można było stworzyć nową wizję Europy. Istnieje bowiem potrzeba zmian zakresu działania UE i jej rozszerzenia, a także zmian polityki energetycznej i zdolności obronnych. To oznacza konieczność zreformowania instytucji europejskich. We wszystkich tych kwestiach Paryż pozostaje ważnym partnerem.

Od czasu napaści Rosji na Ukrainę wzrosło napięcie między Chinami i Stanami Zjednoczonymi oraz ich sojusznikami w regionie Indo-Pacyfiku. Tu Francja ma wiele do powiedzenia, posiadając w tym regionie drugą co do wielkości strefę ekonomiczną na świecie. Swoją obecność mogłaby jeszcze tam wzmocnić, poprzez zwiększenie obecności marynarki wojennej. „Stowarzyszenie Francji z Wielką Brytanią w Czwórce (Australia, Japonia, Indie, Stany Zjednoczone) dałoby jej również polityczną kotwicę" – zauważa gazeta.

Krajów Bliskiego Wschodu nie satysfakcjonuje relacja, jaką mają ze Stanami Zjednoczonymi, Rosją i Chinami. Jednak Francja cieszy się tam uznaniem. Ostatnio przybyli do Paryża z wizytą prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich i książę saudyjski.

Wojna na Ukrainie sprawiła, że niemal niezauważona została porażka Francji w Mali. Siły francuskie wspierały tamtejszy rząd w walce z islamistycznymi rebeliantami od prawie dekady. W sierpniu opuścili ten afrykański kraj ostatni francuscy żołnierze.

Obecny klimat konfrontacji z Rosją może być okazją do zrównoważenia rosyjskich wpływów.

„Le Croix" zauważa też, że „Francja musi podjąć wysiłek, aby być konkurencyjna pod względem gospodarczym i technologicznym w obliczu konkurencji ze strony takich krajów jak Korea Południowa czy Indie, a także ożywić swoją soft power, czyli zdolność do wywierania wpływu, zwłaszcza dzięki pracy korpusu dyplomatycznego".

Gazeta jednak postrzega sytuację w dość ciemnych barwach. Chociaż Francja w Unii Europejskiej tworzy centralną oś z Berlinem, jej upadek wydaje się nieunikniony. Ostatnie trzy dekady to osłabienie nauki, sieci dyplomatycznej i systemu opieki zdrowotnej – a to te czynniki decydowały o jej międzynarodowym wpływie. Dzisiejsza polityka zagraniczna nie jest dostosowana do realiów świata. „Tak było już za czasów François Mitterranda, który mylił się na przykład w kwestii zjednoczenia Niemiec czy Rwandy. Potem było jeszcze gorzej, zwłaszcza w przypadku Nicolasa Sarkozy'ego i Emmanuela Macrona" – zauważa „Le Croix".

Według gazety dużym błędem Francji był sprzeciw wobec przystąpienia Turcji do Unii Europejskiej oraz nieprzejednana postawa wobec Iranu. To właśnie popchnęło ten kraj w ramiona Rosji i Chin. Błędem było też niedocenianie Władimira Putina, co skutkowało obecną wojną na Ukrainie. Emmanuel Macron wykazał się w tym przypadku ogromną ślepotą, podobnie jak wcześniej Nicolas Sarkozy. Obecny przywódca Francji troszczył się przede wszystkim o to, by nie „upokorzyć" Rosji. To wzbudziło wściekłość krajów bałtyckich i Polski.

„W Afryce skupiliśmy się na walce z dżihadyzmem i nielegalną emigracją, nawet jeśli oznaczało to dalsze wspieranie autorytarnych reżimów. Zakaz migracji wywołał silny antyfrancuski resentyment, za który płacimy w Sahelu" – pisze „Le Croix".

Jednym z powodów upadku Francji i jej odrzucenia w świecie jest arogancja jej przedstawicieli. Arogancja w polityce zagranicznej wynika częściowo z chęci zrekompensowania sobie pewnego upadku – utraty statusu przodującego mocarstwa i utraty imperium kolonialnego. Należałoby jednak wykazać więcej pokory i przestać, na przykład, mówić o „małych krajach europejskich" albo o „francuskiej obecności w Libanie", aby mocniej napiętnować ingerencję Iranu. „Media powinny wreszcie ożywić publiczną debatę na temat spraw międzynarodowych" – podsumowuje „La Croix".

Źródło: La Croix

Japonia zwiększy wydatki na obronność

Jak donosi amerykański serwis informacyjny Daily Caller, Japońskie Siły Samoobrony podejmują szereg działań mających na celu usprawnienie obronności w związku z rosnącym zagrożeniem ze strony Chin.

Z tego powodu zdecydowano też o zwiększeniu budżetu wojskowego na 2023 r. Początkowy wniosek o 5,6 bln jenów, czyli około 40,4 mld dolarów, może wzrosnąć nawet do 6,5 bln jenów. Stanie się tak, gdy koszty zakupu niektórych rodzajów broni zostaną określone po przyjęciu przez rząd w grudniu nowej strategii bezpieczeństwa narodowego.

Premier Fumio Kishida dąży do rozbudowy japońskiej armii w ciągu najbliższych pięciu lat. Zamierza też pogłębić współpracę w zakresie bezpieczeństwa z USA, Izraelem oraz innymi państwami z regionu Azji i Pacyfiku.

Jak argumentowało ministerstwo w swoim wniosku budżetowym: „Chiny wciąż grożą użyciem siły, aby jednostronnie zmienić status quo, pogłębiają także swój sojusz z Rosją".

Kishida popiera podwojenie wydatków obronnych z 1 na 2 proc. PKB, czyli około 10 bln jenów (72 mld dolarów). Pozwoliłoby to japońskiej armii stać się trzecią siłą militarną świata, po Stanach Zjednoczonych i Chinach.

„W związku z fundamentalnym wzmocnieniem naszej siły obronnej w ciągu najbliższych pięciu lat, musimy zabezpieczyć wystarczający budżet na pierwszy rok" – powiedział Minister Obrony Yasukazu Hamada podczas spotkania związanego z zatwierdzeniem budżetu.

Parlament ma czas do kwietnia na ostateczne zatwierdzenie budżetu, który byłby wyższy o 20 proc. w stosunku do tego z 2022 r. Znalazłaby się tam dyrektywa o masowej produkcji rakiet typu cruise i pocisków balistycznych dużej prędkości. Pozwoliłoby to zwiększyć zasięg rażenia. Do tej pory stosowano głównie rakiety krótkiego zasięgu, a ograniczenie wynikało z konstytucji Japonii regulującej sprawę umieszczania pocisków w promieniu kilkuset kilometrów od granic państwa. Tokio ma możliwość ulokowania do tysiąca pocisków dalekiego zasięgu w miejscach, z których będą one w stanie dosięgnąć celów chińskich i północnokoreańskich.

Rosyjska agresja na Ukrainę wzbudziła obawy o podobny scenariusz ze strony Chin w Azji. Zwłaszcza w obliczu wzmacniania więzi między Moskwą a Pekinem. Zgodnie z informacjami agencji The Associated Press obydwa kraje zamierzają przeprowadzić wspólne manewry wojskowe w pierwszym tygodniu września. W sierpniu podczas ćwiczeń wojskowych wokół Tajwanu Chiny wystrzeliły rakiety w wyłączną strefę ekonomiczną Japonii.

Japonia podpisała dwustronne porozumienie o współpracy w dziedzinie obronności z Ministrem Obrony Izraela Bennym Gantzem w trakcie jego niedawnej wizyty na wyspie. Gantz potwierdził zmianę japońskiej polityki obronnej i odejście od powojennego pacyfizmu.

„Będzie to miało realne konsekwencje dla wojskowości, ale też w dziedzinie badań i rozwoju oraz przemysłu obronnego" – powiedział. Izrael należy do jednego z największych eksporterów broni na świecie.

W sierpniu miały też miejsce wspólne ćwiczenia na Hawajach, w których uczestniczyły jednostki z USA, Korei Południowej i Japonii. Były to pierwsze tego typu manewry od 2017 r.

Źródło: Daily Caller

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

9 września 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 15(27)/2022*

Indyjska demokracja umiera za rządów Modiego

Gdy w 1947 roku, po prawie 200 latach, Brytyjczycy opuścili Azję Południową, Gandhiemu i Nehru marzyło się państwo świeckie. Uważali oni, że interes ekonomiczny Hindusów jest taki sam bez względu na wiarę. Dziś kraj kierowany od 2014 r. przez Narendrę Modiego przeżywa poważny kryzys kohabitacji między wspólnotami religijnymi, podsycany przez hinduskich nacjonalistów u władzy – pisze „Le Monde".

15 sierpnia w świętujących 75-lecie niepodległości Indiach wszędzie powiewały pomarańczowo-biało-zielone flagi. W Delhi łopotały na wietrze na dachach budynków i jeżdżących po stołecznych ulicach rikszach, a mali uliczni sprzedawcy oferowali je kierowcom. Premier Narendra Modi zachęcał na portalach społecznościowych swoich rodaków do wywieszenia trójkolorowego sztandaru przy domach.

Premier przemówił tradycyjnie z murów Czerwonego Fortu, majestatycznego Pałacu Cesarzy Mogołów. Z tego miejsca w 1947 r. zwracał się do rodaków Jawaharlal Nehru, pierwszy szef rządu niepodległych Indii, pełniący swoje obowiązki przez niemal 17 lat.

Dla obrońców wartości Republiki obchody 75. rocznicy zaprawione były jednak nutą goryczy. „Subkontynent coraz bardziej oddala się od dziedzictwa ojców założycieli, negując podstawowe zasady zawarte w preambule konstytucji: równość, świeckość i demokrację" – zauważa „Le Monde".

Demokracja słabnie

Obecne Indie pod rządami Modiego nie starają się już bronić sekularyzmu. W jego indyjskiej wersji oznaczał on współistnienie religii w przestrzeni publicznej. Dzięki temu, na indyjskiej ziemi, w pewnej harmonii mogli żyć hindusi, muzułmanie, sikhowie, chrześcijanie, dżiniści, Parsowie i buddyści. Dziś wszystko zmierza w kierunku ustanowienia dominacji większości hinduskiej w imię Hindutvy, ideologii supremacjonistycznej. Celem ataków stają się wyznawcy innych religii, a szczególnych upokorzeń doświadcza 200 mln muzułmanów. Ta grupa stanowi 14,2 proc. populacji. Ich przodkowie, wierząc w ideę życia w pokoju w Indiach, postanowili nie przyłączać się do Pakistanu w momencie podziału kraju w 1947 roku.

„Obecny rząd tak podsyca podziały społeczne, że przywódcy Bharatiya Janata Party (BJP), partii premiera, stracili wszelką powściągliwość" – informuje „Le Monde". Zwolennicy obecnej władzy, pod pretekstem ochrony krów, zlinczowali niedawno pięciu muzułmanów. Pochwalił się tym w swoim wideo były poseł z Radżastanu Gyan Dev Ahuja. Z kolei Raja Singh, członek rady miejskiej Telangany, pozwolił sobie na wygłaszanie skandalicznych uwag na temat proroka Mahometa. Wcześniej krajowa rzeczniczka BJP Nupur Sharma wywołała dyplomatyczny incydent, piętnując związek Proroka z jego młodą żoną Aiszą.

Ashok Swain, profesor badań nad pokojem i konfliktami na szwedzkim Uniwersytecie w Uppsali, tak ocenił panującą w Indiach sytuację: „Partia rządząca zdobyła swoje poparcie dzięki demonizowaniu muzułmanów. Wydaje się, że istnieje w niej współzawodnictwo w wygłaszaniu podłych komentarzy pod adresem proroka Mahometa. Islamofobia w Indiach przekroczyła wszelkie granice" – napisał na Twitterze.

Od czasu uzyskania przez Indie niepodległości nie zaistniała nigdy wcześniej sytuacja, by nie było ani jednego muzułmańskiego członka w parlamencie lub w 30 zgromadzeniach stanowych i na terytorium związkowym. Tak jednak się stało obecnie, za czasów rządów BJP.

Innym zagrożeniem dla demokracji jest ograniczanie swobód i prześladowanie intelektualistów nazywając ich „antynarodowcami". Partia rządząca lekceważy też parlament i utrudnia funkcjonowanie organizacjom pozarządowym, a zasoby państwowe wykorzystuje do neutralizowania przeciwników oraz kontrolowania mediów i władz regionalnych.

„Kłusownictwo" wyborcze

Należy jednak uczciwie przyznać, że młoda republika też nie była pozbawiona wad przed przejęciem władzy przez hinduskich nacjonalistów w 2014 roku. Już w 2013 r. historyk Ramachandra Guha opisał w czasopiśmie „Debata" dwa oblicza Indii, którym przewodzili wówczas Indyjski Kongres Narodowy i Partia Niepodległości. Pisał o tym, że z jednej strony Indie są „ekscytującą" Republiką z wolnymi wyborami, wyjątkową różnorodnością religijną, językową i etniczną, niezależną prasą i sądownictwem Z drugiej jednak strony są „przygnębiającą" Republiką, w której „indyjscy politycy są skorumpowani, policja często brutalna, biurokracja niekompetentna, a dyskryminacja kastowa, klasowa i religijna rodzi wielkie niezadowolenie społeczne".

Obecnie wszystko, co było przez historyka chwalone, osłabło, za to wzmocniły się podane przez niego wady. Rząd chce jedności językowej – ma to być hindi, podczas gdy uznanych i używanych w kraju jest aż 22 języków regionalnych. Coraz mniejszą niezależnością cieszą się prasa i media, a wybory, choć wciąż wolne, to zdominowane zostały przez najpotężniejszą finansowo partię – BJP.

Nawet porażka partii Narendry Modiego w wyborach regionalnych nie szkodzi jej wpływom, gdyż jest w stanie ona odzyskać władzę, kupując posłów z drugiej strony. O tego typu „kłusownictwie" można mówić w Karnatace, Madhya Pradesh, Goa, Manipurze i Maharashtrze.

Palaniappan Chidambaram, poseł Partii Kongresowej i były minister finansów uważa, że indyjska demokracja jest „na ostatnich nogach". Pisze on w swojej kolumnie w „Indian Express", że wybory w dzisiejszych czasach wydają się być w dużej mierze zdeterminowane przez pieniądze, a BJP jest najbogatsza. Wskazuje też na inne narzędzia do wygrywania wyborów, takie jak: oswojone media, przejęte instytucje, zmilitaryzowane prawo i podległe agencje.

„Zwolennicy świeckich, egalitarnych i demokratycznych Indii obawiają się, że wybory powszechne w 2024 r. mogą być ostatnim ciosem dla ideałów niepodległości" – podsumowuje „Le Monde".

Źródło: Le Monde